

szturm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo - radykalny nr 21/2016 (06) ISSN 2450-5439



077

Szturm miesięcznik narodowo-radykalny nr 21 2016

Krzysztof Kubacki - „Demoliberalizm jest śmiercią”

Michał Szymański - „Solarny katolicyzm”

Roch Witczak - „Napomnienie na koniec czasu”

Agata Hammermeister - „George Forestier”

Adam Busse - „XXI wiek – wiek walki przeciw nowoczesnemu światu”

Michał Walkowski - „Potęga świadomości”

Marta Niemczyk - „Lepka purpura łódzkich kwiatów” – niełatwa historia rewolucji 1905 roku”

Maria Pilarczyk - „O uzdrowienie ochrony zdrowia”

Kacper Sikora - „Fenomen sportowego patriotyzmu”

Tomasz Dryjański - „Euro czyli Thiago Cionek, januszopatriotyzm i multikulti”

Patryk Płokita - „Wandea – fakty i mity”

Patryk Płokita - „Zapomniane dziedzictwo ideowe nacjonalizmu – Wielka Rewolucja Francuska”

Witold Dobrowolski - „Wymogi Nacji, żadnej kapitulacji! - relacja z wizyty u Ruchu Azowskiego”

Demoliberalizm jest śmiercią

Demokracja liberalna pomimo swej usilnej propagandy przedstawiającej siebie jako ustrój łagodny i pokojowy - takowym nie jest. Demoliberalizm jest ustrojem totalnym mającym w zamiarze zmiążyć inne ustroje i pomysły na tworzenie państwa. Jest także ustrojem agresywnym na polu militarnym. Co udowadnia bardzo często - choć propaganda demoliberalna, która twierdziła, że prowadzi wojny (w razie czego) jedynie daleko od swych granic dziś leży w gruzach. Głupota demoliberalnych polityków chcących wtykać swoje zapyziałe nosy wszędzie doprowadziła do wojny

na własnym terenie z niewidzialnym wrogiem. Przez demoliberałów ginie coraz więcej niewinnych ludzi na ulicach własnych miast, funkcjonujących jak dotąd bezpiecznie. Niestety po raz kolejny mieszamy się w to i my. Ale o tym za chwilę.

Nigdy nie wolno nam zapomnieć o zrzuconych bombach podczas wojny bałkańskiej w imieniu nauki o demokracji liberalnej. To sztandarowy przykład jak delikatnym demoliberalizm potrafi być ustrojem. I łaskawym rzecz jasna! Destabilizując bliski wschód, zachód sam na siebie przyniósł ból, którego teraz doświadcza. Ból, który dotknął i tak już rozkładające się społeczeństwa, doprowadził do szoku, ale nie do buntu. Dziesiątki lat wmawiania, że bez liberalnej demokracji dojdzie do powrotu do życia totalitaryzmów - to bzdura, ale jednak bardzo dobrze działająca. Demoliberalizm sam jest totalitaryzmem i tak jak inne tego typu ustroje nie cofa się przed nikim i niczym. Użyje nawet środków przymusu dla tych, którzy do niedawna byli jej zwolennikami, a teraz w pewnych kwestiach ze swym dawnym ustrojem się nie zgadzają. Nie ma buntu, nie ma reakcji. Przez demoliberalizm ludzie giną znieścacka, a tych którzy żyją dalej nie stać na nic więcej niż tylko bierne łzy.

Kiedy usłyszałem informację, że polscy żołnierze jadą walczyć z ISIS nie byłem jakoś bardzo zszokowany. Tak naprawdę pytanie bardziej brzmiało: czemu tak późno? Wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpi. Zszargany naród oprócz kiepskiej propozycji życia dostaje teraz propozycje terroryzmu. Mogą nam wmawiać, że służby są w stanie gotowości - jednak to nic nie da - a w poszukiwaniu ukrytych bomb wszystkich ludzi na ulicy nie da rady prześwietlić. Nie ma takiej siły żeby temu zapobiec. Nie ma co sobie mydlić oczu - teraz i my będziemy na celowniku. A nie powinniśmy. To nie nasza wojna, którą zakończyć powinny państwa zachodu - to one do niej doprowadziły. Wracając do tego czemu mnie to nie zdziwiło - młodsze demoliberalizmy i ich przedstawiciele lecą do swych starszych braci żeby się wykazać. Co przecież widzimy od 89 roku - że demoliberalni politycy nie umieją wyzbyć się nawyku o dbanie interesów innych państw niż własnego. I to bez względu na to jakimi pięknymi frazesami zasłaniają swoje działania - wciąż zamiast budować własną siłę - żebrzą u obcych. Znamy to już z historii, prawda?

Jednak najbardziej zaskoczyła mnie praktyczna cisza po ogłoszeniu tej decyzji. Podane suche informacje na portalach, brak ożywionej dyskusji, działania. To smutne jak działania demoliberałów spowszedniały - i nie ma na to żadnej odpowiedzi i konkretnych reakcji - jest to niestety oznaką naszej wielkiej słabości. Jak bardzo bez oporu społeczeństwa można pleść bzdury, że Amerykanie nas obronią, że musimy mieć amerykańskie bazy bo inaczej...Tak to już jest, że te większe demoliberalne państwa zawsze będą wciągały w swoje tarapaty te mniejsze, aby przenieść część ciosów i cierpienia na innych. Pamiętajcie jakieś korzyści dla nas za udział w wojnie w Iraku czy Afganistanie? Ano właśnie i tym razem zrobimy za frajera.

Demoliberalizm jest dla nas śmiertelny, zabija nas powoli, ale coraz głośniej. Kiedy w Europie zaczęły umierać jakiegokolwiek wartości wszyscy się pocieszali, że nie jest tak źle - uratujemy wszystko. Teraz jest już gorzej, bo przez demoliberalizm na ulicach coraz częściej giną ludzie. I teraz dopiero widać jak bardzo bezbronni jesteśmy. Dziś tak jak dawniej monarchia, demoliberalizm topi

się w swej glorii i chwale. Pycha demoliberalatów jednak skończy się prędzej czy później - tyrania w Europie zawsze kończyła fatalnie.

Oby jednak ten cały syf padł prędzej, bo może się okazać, że na tych zgliszczach nie ma już za bardzo czego odbudowywać. Niektórzy są w stanie się ludzić, że ta czy inna partia w tym systemie są go w stanie uratować, zrobić coś dobrego. Omijajcie takich ludzi szerokim łukiem – bo Wasza energia pójdzie na marne. Nie da się w tym systemie zrobić czegokolwiek dobrego – on sam w sobie jest złem, tworzonym przez złych ludzi, którzy – kiedy wejdiesz do gry na ich warunkach – nigdy nie pozwolą Ci niczego dobrego zrobić ani zdziałać. Bardzo słabo stoimy wciąż z propagandą przeciwko demokracji liberalnej. A musimy w każdej swojej inicjatywie o tym mówić – nie o jakimś tym mitycznym systemie bez nazwy – ale o demokracji liberalnej, która zabija – zabija człowieka duchowo i prowadzi do jego śmierci fizycznej przez głupotę rządzących. Demoliberalizm jest śmiercią – a nasz kraj, nasza kultura, tradycja chyba nie chcą umierać? Nie możemy się podniecać partiami, które w pewnych sferach grają na naszych hasłach. Nie może też być naszym celem tworzenie demokracji liberalnej i naprawianie tego z założenia złego ustroju. Ile to się nasłuchiwałem o tworzeniu własnego ustroju – jeżeli ma do tego kiedykolwiek dojść zasada jest jedna: żadnej litości, przywiązania i złudzeń dla demokracji liberalnej – dla niej musi zostać jedynie śmietnik historii. Ratujmy swoje życie!

Krzysztof Kubacki

Solarny katolicyzm

__Ogromnym przekłamanem, które funkcjonuje w przestrzeni publicznej, jest traktowanie katolicyzmu wyłącznie jako religii ludzi pokornych, słabych, wręcz ofiar losu (w końcu trzeba wiecznie nadstawiać drugi policzek), ludzi bez ojczyzny i własnej tożsamości (wszak "nie ma Żyda ani Greka"). Ostatnimi czasy zauważyć można wzmożenie się krytyki nacjonalistów-katolików przez neopogan, zarzucających nam odpowiedzialność a to za "hańbę Krwi", a to "zdradę Słowiańszczyzny i Wielkiej Lechii".

"Szturm" nie jest pismem sensu stricto religijnym, zawsze uważałem, że co bardziej głębokie przemyślenia dotyczące wiary można znaleźć w typowo katolickich pismach - z drugiej jednak strony nie ukrywaliśmy też nigdy, że zdecydowana większość naszej redakcji poczuwa się do tej religii i choć nie mamy żadnego problemu by współpracować z nacjonalistami wyznającymi inne obrządki bądź inne wyznania, czy wręcz będącymi religijnie obojętnymi, to czymś oczywistym wydaje nam się szacunek dla Kościoła katolickiego chociażby z racji na dziejową rolę, jaką odegrał w historii Polski i Europy. Oczywiście, są osoby, które będą mówiły, że chrześcijaństwo zniszczyło czy to antyczny Rzym, czy plemiona germańskie, czy Wielką Słowiańszczyznę - myślę, że nawet spora część rodzimowierców przyzna, że są to teorie ahistoryczne i nie ma co się nad nimi szczególnie rozwodzić.

Dziś jednak warto pochylić się nad zupełnie innym problemem - czy faktycznie jest tak, że religia katolicka to wiara ludzi słabych i pokornych, religia niewolników? I czy faktycznie powinniśmy tolerować wszystko co złe i dawać sobie pluć w twarz?

Jednym z największych świętych Kościoła jest św. Michał, dowódca zastępów niebieskich, archanioł walczący przeciw Szatanowi. Najświętsza Maryja przedstawiana jest zaś jako Królowa, która depta węża, nieprzyjaciela, ojca kłamstwa i przyczynę upadku ludzkości.

Często zarzuca się środowiskom nacjonalistycznym, że operują językiem nienawiści, że zamiast dialogu operujemy inwektywami, że zamiast - dajmy na to - spokojnie odnieść się do homo-parad wolimy wyzywać uczestników tychże spędów od najgorszych i nie ma to nic wspólnego z duchem Ewangelii. Jest to, oczywiście, typowe demoliberalne zakłamanie, dzisiejszy mainstream bowiem bardzo lubi powoływać się na chrześcijaństwo, ale tylko wtedy, gdy może dostosować je do własnych potrzeb i po odpowiedniej manipulacji odpowiednim fragmentem Pisma Świętego zarzucić naszemu środowisku, że stoimy w sprzeczności z nauczaniem Kościoła.

Osobiście jestem katolikiem - myślę, że wielu spośród Czytelników również. Nie ulega wątpliwości, że od zarania dziejów toczy się o wiele ważniejsza walka niż konflikt narodów, klas, ras czy cywilizacji - największym z konfliktów jest konflikt Dobra i zła, Nieba i piekła, Światłości i ciemności. Naszym obowiązkiem jest troszczyć się o naszą ojczyznę, ale jeśli chcemy dla niej prawdziwej chwały, to będzie nią stanięcie po słusznej stronie w tej najświętszej z walk - wtedy właśnie będzie szczęśliwa i wielka. Nie ma bowiem większej miłości wobec drugiego człowieka (a czym innym jest nacjonalizm jak nie miłością wobec swoich rodaków?) jak troska o jego zbawienie. Nie ma większego zaszczytu niż opowiedzenie się po jasnej stronie mocy. Tak jak, nawiązując do ewoliańskiej dychotomii, w konflikcie światów Tradycji i anty-Tradycji powinniśmy bronić tej pierwszej, tak w wojnie Dobra ze złem powinniśmy bronić świętości, a nie plugastwa.

Nie powinniśmy więc krytykować poszczególnych osób za ich grzechy, gdyż każdy z nas jest słaby i popełnia błędy - ale naszym świętym obowiązkiem jest niszczyć grzech. Jak głosi Hymn Młodych "Polsce niesiem odrodzenie, deptając podłość, fałsz i brud" - nasz kraj, nawet bogaty i szybko się rozwijający, tkwiący w moralnym upadku cały czas będzie miejscem w którym nie chcielibyśmy żyć. Dość wspomnieć, że diabelskim nasieniem jest chociażby skrajny, niczym niepoohamowany indywidualizm - o ile bowiem nie ma niczego złego w miłości samego siebie, a takie postacie jak Achilles, Roland czy Renald Chatillon stały się symbolami europejskiego męstwa, waleczności oraz pogoni za chwałą, o tyle odrzucenie jakiegokolwiek solidaryzmu społecznego jest właśnie tym, na czym zależy złemu.

Tym, czym próbuje się nas nie raz atakować, jest współczucie - zarzuca się nam, że powinniśmy współczuć tym, którzy zagubili się w grzechu, którzy zostali nim zniewoleni. Oczywiście, jest to prawda, za takie osoby właśnie należy się modlić i próbować je wyciągnąć z ich upodlenia - ale czy to w jakikolwiek zmienia fakt, że ich czyny są złe, a przyzwyczajenia obrzydliwe? Oglądaliście może słynny horror "Omen"? Gdy Antychryst (uwaga, spoiler!) nie może już w zasadzie w żaden sposób uratować się przed klęską, próbuje zagrać na współczuciu, podobny motyw pojawia się chociażby

w "kultowym" filmie "Shrine" (kanadyjskiej produkcji osadzonej... w realiach polskiej prowincji. Ciężko mi powiedzieć, czy "polecam" to dzieło) - wszak zło zdaje się mieć taką niewinną, ludzką, zasługującą na współczucie twarz. Przyzwolenie na zło tymczasem nie ma absolutnie niczego wspólnego z katolicyzmem, tolerancja to herezja a przemykanie oczu na grzech również jest grzechem. Nie mylmy pojęć - módlmy się za grzeszników, ale z grzechem walczymy stanowczo i zdecydowanie, a na każdą próbę promocji zachowań niezgodnych z naszą wiarą odpowiadamy stanowczo i zdecydowanie. Lewica uwielbia twierdzić jakoby Jan Paweł II "przeprosił za krucjaty i inkwizycję" - jest to absolutna bzdura. Papież-Polak jedynie przyznał, i faktycznie przeprosił, za nadużycia, które pojawiły się w związku z powyższymi. Bądźmy spadkobiercami tego dziedzictwa, brońmy Krzyża przed barbarzyńcami którzy chcą go podeptać.

Nie sposób nie dostrzec Piękna katolicyzmu na płaszczyźnie symbolicznej. Nie ma on nic wspólnego z rzekomym egalitaryzmem, wręcz przeciwnie, jest to religia hierarchiczna i zakłada Porządek, zarówno w świecie doczesnym, jak i wiecznym. Czyż bowiem Lucyfer nie był tym, którzy nie chciał służyć? Tym, którzy nie podporządkował się Najwyższemu?

Tradycyjne religie mają mieć charakter solarny, koncentrować się wokół Słońca, siły i mądrości. Czyż nie jest wszechobecnym atrybutem Boga oraz Jego Syna ogień oraz światło? Czy nawet kapłan podnoszący Hostię nie odzwierciedla tym gestem powstającego Słońca? A czy przypadkiem nie słyszymy w Boże Narodzenie, że "na początku było Słowo"? Greckie "Logos"? Wreszcie, czy przypadkiem ci wszyscy, którzy kpią z Boga oddającego z miłości do swego stworzenia życie na Krzyżu nie myślą z szacunkiem o, dajmy na to, Leonidasie i jego trzystu Spartanach, którzy zginęli w obronie swego miasta i swej cywilizacji? Czy wszyscy ci, którzy na przestrzeni dziejów dobrowolnie oddawali życie dla dobra innych, nie spotkali się z naszej strony z kultem i stawianiem na piedestale?

Jak to usłyszałem pewnego wieczoru (albo raczej - biorąc pod uwagę ładnych kilka godzin spędzonych nad Wisłą - nad ranem) od kolegi - "katolicyzm to religia dla faceta". W tej prostej myśli zawarte jest więcej, niż byśmy pomyśleli.

Katolicyzm nie rurki z kremem, chciałoby się rzec. Oczywiście, można go traktować po macoszemu, uznać, że wystarczy raz na jakiś czas skoczyć do kościoła i, co do zasady, nie zjeść kebaba w piątek - tylko co to ma wspólnego z naszą wiarą? Ma rację mój redakcyjny kolega, Witek Dobrowolski, pisząc o tym, że muzułmanom nie można odmówić tego, że ortodoksyjnie traktują swoją religię - i to właśnie należy uznać za coś godnego szacunku i naśladowania.

Jeśli założymy więc, że nacjonałiści chcą być awangardą społeczeństwa na każdym możliwym polu - politycznym, społecznym czy kulturalnym - to również i na polu religijnym. Nie można tylko "walczyć z pedałami" i krzyczyć "Wielka Polska katolicka" ale zacząć od samego siebie. To jest właśnie to, o czym pisał Prymas Tysiąclecia, że najważniejsze jest zwycięstwo nad czymś bardzo małym - nad samym sobą. Bierzmy przykład z przedwojennych ONR-owców, którzy byli

autentycznymi katolikami, z Jose Antonio który na rozstrzelanie szedł z krzyżem w ręku, z (prawosławnych, co prawda) legionistów Michała Archaniola którzy swoją organizację przemielili na quasi-zakon religijny, a swój nacjonalizm przemienili w szkołę wiary, pełną modlitwy, postu i ufności względem Boga.

Naszym zadaniem powinno być to, o czym mówił przed wojną Degrelle - odmłodzenie katolicyzmu. Nie w duchu "postępu" i modernizmu, przeciwnie - musimy pokazać, że katolicyzm to młodzi ludzie, którzy swą relację z Bogiem chcą oprzeć o piękno dawnych rytuałów i o surową ortodoksję, a nie śmieszne pogrywanie na gitarach. Przyszłością Kościoła są młodzi ludzie gotowi bronić Krzyża i doktryny, a nie ci, którzy najchętniej podjęliby dialog ekumeniczny z satanistami.

Katolicyzm to religia dla faceta, gdyż potrafi uczyć najszlachetniejszych cech charakteru oraz przynieść duchowy oraz nie tylko duchowy rozwój. Post, taka prosta rzecz, odmówienie sobie czegoś smacznego, słodyczy, cukru, alkoholu czy nikotyny, jest nie tylko formą modlitwy ale również pozytywnie wpływa na naszą wolę i organizm. Słyszeliście o nowennie pompejańskiej? Modlitwie polegającej na odmawianiu przez 54 dni, codziennie, całego różańca? Jest to nie tylko, w powszechnej opinii, niezmiernie skuteczna forma rozmowy z Bogiem i nie tylko dowód na ogrom chwały Matki Bożej, ale również swoista szkoła charakteru - naprawdę sądzicie, że odmówienie przez dwa miesiące, codziennie, wszystkich tajemnic różańca jest takie proste? Że nigdy wam nic "nie wypadnie"? Że nie będziecie musieli kombinować w jaki sposób znaleźć te kilkadziesiąt minut w ciągu dnia by w natłoku zajęć znaleźć czas na rozważanie tajemnic radosnych, bolesnych i wreszcie chwalebnych? To wymaga ogromu determinacji oraz samozaparcia, nawet przezwyciężenia tak zwykłej rzeczy, jaką jest lenistwo. Pamiętacie antyklerykalny "Kod Leonarda da Vinci" oraz mnicha Sylasa, którego dowodem na fanatyzm miały być umartwienia takie jak chociażby noszenie włosienicy? Abstrahując od groteskowych form zaprezentowanych przez Dana Browna - jak wiele męstwa trzeba mieć w sobie by podjąć tak radykalną formę modlitwy? Oczywiście, nie jest ona dla każdego i z pewnością osoby z zaburzeniami psychicznymi czy skłonnościami do samookaleczeń powinny jej unikać, jednak w moim odczuciu takie osoby jak św. Franciszek z Asyżu, św. Faustyna Kowalska czy św. Jose Maria Escriva, nie tylko podejmowali wyjątkowy mechanizm walki ze złem, ale również wykazywali się ogromem odwagi świadomie biorąc krzyż, świadomie czyniąc to, przed czym nasz układ nerwowy rozpaczliwie chciałby się bronić.

Nasza wiara nie może być pusta, musi być naznaczona miłością do drugiego człowieka - niezmiernie pięknym tekstem poświęconym temu zagadnieniu jest "Deus caritas est" Benedykta XVI. Musimy walczyć w obronie Tradycji, Europy, ojczyzny i narodu - to wszystko są wartości, w których obronie warto oddać życie. Nie wstydzmy się jednak tego, że naszą największą chlubą jest Krzyż - "z Niego moc płynie i męstwo, w Nim jest nasze zwycięstwo".

Michał Szymański

Napomnienie na koniec czasu

Let us drink with the fire that quenches our thirst

Let us drink to each other and ravish the earth

Let us drink and die and drink again

Remember depravity - I give you the sun

Remember debauchery and the orgies of Rome

(Ordo Rosarius Equilibrio – "Remember Depravity and the Orgies of Rome")

O upadku Zachodu mówi się w rozmaitych kręgach już od grubo ponad stulecia, a może jeszcze dłużej. Dekadency poeci, zapiekli nekro-reakcyjniści, rewolucyjni konserwatyści, faszyci w kolejnych wcieleniach, pisarze science-fiction, depresyjni rockmani, a nawet niektórzy liberalni intelektualiści (ci wyzbyci niepotrzebnych złudzeń i nie bojący się goryczy ewentualnych wniosków) – wszyscy oni roztaczają przed nami mniej lub bardziej apokaliptyczne wizje.

Porównania współczesnego społeczeństwa zachodniego (a więc przynajmniej Europy i USA) do Rzymu w epoce upadku – są już normą, zgoła banałem, zwłaszcza na szeroko pojętej prawicy. Mroczny totalitaryzm i rozpasany liberalizm, upadek obyczajów, powszechny permissywizm i relatywizm, terroryzm islamski, narkotyki, new-age itd. - tymi hasłami żongluje się bez końca. Ma to zresztą swoje poważne uzasadnienie, nawet jeśli w tym akurat tekście pozwalamy sobie mówić o tym tak bezceremonialnie i z pewnym dystansem. Cóż, truizm nie musi być fałszywy. Zachodnie społeczeństwo rzeczywiście zdaje się być przesycone klimatem schyłku, czego wyrazem jest choćby sztuka i literatura postmodernistyczna, programowo nawołująca li tylko do żonglowania tym, co już było, a więc do zabawy relikwiami przeszłości, którym nadawać można dowolny kontekst, wymiar i znaczenie.

Dobrze, to wszystko już wiemy. Znamy także problemy bardziej przyziemne: bezrobocie, prekariat, kredytowe uzależnienie (państw i jednostek), zanieczyszczenie środowiska, wstrząsy polityczne czy rozrost fundamentalizmów religijnych przy równoczesnej erupcji hedonizmu i perwersji. Wszystko to zdaje się zmierzać do jakiegoś wielkiego rozwiązania.

W związku z powyższym warto czasem przyjrzeć się dokumentom z czasów, w których Zachód upadł po raz pierwszy. Mowa rzecz jasna o przywołanym już wcześniej procesie rozpadu Imperium Rzymskiego.

Przypomnijmy: w sierpniu roku 410 do Rzymu, stolicy zachodniej części Cesarstwa, wkroczyły barbarzyńskie wojska Wizygotów pod wodzą Alaryka. Po kilku dniach plądrowania oddziały ruszyły na południe, a Rzym formalnie jeszcze przez 66 lat miał swój dotychczasowy status. Formalnie – bo następował już proces dezintegracji terytorialnej, organizacyjnej i społecznej Imperium. Jesienią roku 476, jak wiemy, ostatni cesarz – małoletni Romulus Augustulus – został zdjęty z tronu przez germańskiego wodza Odoakra. Odbęło się to bez pompy, jak przypieczętowanie czegoś oczywistego, jak potwierdzenie faktu dokonanego – szczególnie, że ojciec Romulusa, naczelnik wojskowy Orestes, faktycznie sprawujący władzę w imieniu syna – zginął już wcześniej.

Rzym ówczesny był już chrześcijański (i nie zmienił tego nawet Julian Apostata). Interesujące jest zatem to, czy i w jaki sposób chrześcijaństwo oddziaływało na proces rozpadu. Czy było czynnikiem rozkładowym, czy powstrzymującym? Czy może samo w sobie nie miało związku z sytuacją, to znaczy – nie było w stanie na nią wpłynąć, gdyż procesy polityczne i społeczne były posunięte zbyt daleko?

Naturalnie tego rodzaju artykuł nie może dać nam jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Warto jednak zerknąć na jedno z chrześcijańskich źródeł, które dobrze dokumentuje te niepewne czasy rozpadu.

Salwiana z Marsylii nazywa się pisarzem wczesnochrześcijańskim – co oczywiście ma sens, ale trzeba pamiętać, że religia, którą wyznawał, istniała już od czterech wieków. Urodził się bowiem około roku 400 po Chrystusie, a zmarł mniej więcej 70 lat później, gdy oficjalne istnienie Imperium Rzymskiego dobiegało końca. Prawdopodobnie posiadał wykształcenie prawnicze, poza tym miał w swoim życiu okres małżeński (spłodził nawet potomstwo). Postanowił jednak wraz z żoną żyć we wstrzemięźliwości. Majątek rozdali ubogim, zaś sam Salwian przyjął około trzydziestego roku życia święcenia kapłańskie.

Pisał zapewne sporo, jakkolwiek do naszych czasów przetrwały dwa dzieła: "Do Kościoła, czyli przeciw chciwości" oraz "O rządach Bożych" (De gubernatione Dei). Do tego garść listów, które wymieniał z chrześcijanami i poganami.

Salwian był jednym z wielu kaznodziejów, którzy nawoływali współczesnych sobie do nawrócenia. Godne uwagi jest jednak to, że w dużym stopniu koncentrował się na sprawach praktycznych, zgoła przyziemnych. Nie był może wielkim teoretykiem filozofii czy teologii, ale w zamian za to uderzał w tematy dotyczące każdego – podatki, uczciwość, chciwość, zarabianie pieniędzy, afery finansowe, cudzołóstwo, wulgarne widowiska muzyczne i teatralne, posługiwanie się wiarą do własnych, niegodziwych celów itd.

Z tego powodu pisma Salwiana to poruszający dokument życia w tamtej epoce, gdy wokół wszystko szło powoli w gruzy, a jednocześnie rzymscy chrześcijanie częstokroć byli nimi li tylko powierzchownie. Nie znaczy to, by w skrytości kultywowali pogaństwo – ale raczej, że otwarcie kultywowali religię pieniądza i przyjemności. Tak przynajmniej przedstawia to nasz autor.

Salwian punktuje na przykład wszechobecną pazerność, w tym również i tę, która maskowana jest zapobiegliwością o potomstwo. Uderza w okrucieństwo panów względem niewolników, ale także w inne praktyki funkcjonujące w ówczesnym społeczeństwie. Jedną z nich są coraz wyższe, rujnujące Imperium podatki i inne daniny:

17. Wyraża się to choćby w bezwzględnym okrucieństwie, które jest obce barbarzyńcom, a jakże bliskie Rzymianom, którzy przez ściąganie podatków konfiskują wzajemnie swoją własność! (...) Otóż mała garstka konfiskuje majątki wielu ludziom. Dla nich pobór publicznych podatków jest osobistą zdobyczą, a należności skarbowe stanowią tytuł do prywatnych zysków. Czynią tak zaś nie tylko najwyżsi rangą urzędnicy, lecz i ci najniżsi w urzędniczej hierarchii, nie tylko sędziowie, lecz także ich podwładni.

(str. 182)

Cóż, nie trzeba być liberałem, by przyklasnąć tej wymownej krytyce biurokracji i fiskalizmu. A są to przecież zjawiska, które dotyczą także współczesną, soc-demo-liberalną Unię Europejską. Dziś zresztą i tak – trochę z powodu panującego humanitaryzmu, trochę dzięki temu, że społeczeństwo zdążyło wykreować większy poziom życia i znaczny kapitał – sytuacja jest łagodniejsza niż w Rzymie. Oto bowiem czytamy u Salwiana m.in.:

18. Czyż bowiem są gdzieś nie tylko miasta, lecz także municypia i wsie, gdzie nie byłoby tylu tyranów, ilu urzędników? (...) Powstała taka sytuacja, w każdym razie tak powszechne panowanie zbrodni, że ocaleć może tylko ten, kto prowadzi życie występne.

(str. 182)

Widać więc, że rozkład aparatu państwowego i jego staczanie się w anarchię – nie przynoszą bynajmniej wolności czy jakiegoś romantycznego powiewu szaleństwa, o którym marzą niektórzy spośród naszych ekstremistów. Przeciwnie, ów chaos jedynie wzmacnia niedolę ubogich i bezduszną biurokracji, uporczywie trzymającej się swoich ostatnich prerogatyw.

Sytuacja jest niepokojąca:

Kto bowiem udziela pomocy prześladowanym i udręczonym, skoro gwałtom ludzi nieprawych nie sprzeciwiają się nawet kapłani Pańscy? (...) Większość z nich albo milczy, albo jeżeli nawet zabiera głos, to niewiele różni się od tych, co milczą. (...) Nie chcą bowiem głosić jawnej prawdy, ponieważ nie mogą jej znieść uszy złych ludzi i nie tylko od niej uciekają, lecz wręcz nienawidzą i jej złorzeczą.

(str. 183)

Ucisk podatkowy był w schyłkowym Rzymie tak monstrualny (przynajmniej w relacji do przychodów i majątków ludzi z niższych warstw), że wyjściem nierzadko była ucieczka poza granice Imperium – do barbarzyńców:

21. Dochodzi wręcz do tego, że wielu z nich, bynajmniej nie niskiego pochodzenia i wykształconych w sposób godny człowieka wolnego, ucieka do wrogów, aby nie umrzeć pod ciosami publicznych prześladowań. (...) wolą się jednakże pogodzić z obcym sobie sposobem ich życia, niż znosić ze strony Rzymian dzikie bezprawie. 22. Raz po raz udają się więc czy to do Gotów, czy do bagaudów, czy do innych państw barbarzyńskich, gdziekolwiek panują, i nie żałują tej zmiany miejsca pobytu. (...) Niegdyś obywatelstwo rzymskie nie tylko cieszyło się wielkim uznaniem, lecz także nabywano je za bardzo wysoką cenę. Obecnie każdy sam je odrzuca i ucieka od niego, ponieważ nie tylko stało się czymś bezwartościowym, lecz wzbudza wręcz odrazę.

(str. 183)

Jak widać, emigracja z powodu podatków i ubóstwa to nie jest współczesny wynalazek. Nawiasem mówiąc, powyższy cytat dobrze wpisuje się w realia współczesnych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski.

Salwian nie waha się nawet znaleźć słów usprawiedliwienia czy zrozumienia dla bagaudów – ludności chłopskiej, która powstała przeciwko niewoli fiskalnej:

Nazywamy zatraconymi buntownikami tych, których sami pchnęliśmy na drogę występku. 25. Cóż bowiem uczyniło ich bagaudami, jeśli nie nasze niegodziwe czyny, jeśli nie brak uczciwości ze strony sędziów, jeśli nie konfiskaty majątku i rabunki tych, którzy publiczne podatki obrócili na własne dochody i korzyści, czyniąc własnym łupem nałożone przez państwo świadczenia. (...) Lecz cóż

innego mogą chcieć nieszczęśnicy, którzy codziennie, a nawet bez końca, popadają w ruinę z powodu ściągania publicznych podatków? (...) Wrogowie są dla nich łaskawsi od poborców podatkowych.

(str. 185)

Salwian pisze także o klasach wyższych, które godzą się na zwiększanie obciążeń podatkowych, bo tak naprawdę nie muszą ich płacić, w praktyce cedując je na coraz bardziej spauperyzowaną ludność. Tematem kazań jest też niedola kolonów, czyli swego rodzaju chłopów pańszczyźnianych.

Temu wszystkiemu, co dzieje się w Rzymie, Salwian przeciwstawia – być może trochę na wyrost – prostotę, czystość i normalność barbarzyńców (celtyckich i germańskich). Owi barbarzyńcy są jednak albo poganami, albo heretykami – Arianami. Argumentacja Salwiana jest zatem ostra, bowiem notorycznie odwołuje się on do faktu, iż nominalnie błędzący barbarzyńcy są w praktyce daleko lepszymi ludźmi niż formalnie trwający w ortodoksji Rzymianie. Ba, znajduje dla Wandalów czy Gotów znaczne okoliczności łagodzące, licząc na miłosierdzie Boże względem nich – z uwagi na ich ignorancję, częstokroć przecież niezawinioną.

O samych Rzymianach, o doktrynalnie prawowiernych chrześcijanach, Salwian na ogół wypowiada się źle, temu zresztą służą jego dzieła:

Zatem i dla nas imię chrześcijańskie jest jakby ornamentem. Jeśli używamy tego imienia w sposób niegodny, okazuje się ono ozdobą słoń, które przystroiliły sobie ryje.

(str. 150)

Jeżeli więc ktoś chciałby wierzyć w mityczną pierwotną czystość ówczesnych chrześcijan czy większy rygor moralny – to zapewne srodze zawiedzie się po lekturze wywodów Salwiana. Na porządku dziennym jest wykorzystywanie słabszych, posiadanie kochanek, oszustwa finansowe, zemsta, wzajemne spiski i knowania. Przywiązanie do dóbr materialnych przejawia się w skrajnej niechęci posiadaczy do jakiegokolwiek jałmużny, przy równoczesnym koncentrowaniu się na pomnażaniu majątku i przekazywaniu go dalej (kolejnym pokoleniom), co Salwian postrzega jako postawę niezgodną z chrześcijańskim zaufaniem Opatrzności Bożej.

Ale jest też i lubieżność, bo rzymcy chrześcijanie nie kwapią się bynajmniej do życia choćby spokojnego i stonowanego, o ascezie nie wspominając. Oczywiście jest tu pewna polaryzacja – z jednej strony mamy pustelników i mnichów, z drugiej zaś rozbuchaną, tonącą w niskich przyjemnościach większą część społeczeństwa, zwłaszcza miejskiego.

Możemy dziś utyskiwać na rozerotyżowaną, wulgarną, hedonistyczną, zmysłową popkulturę, na orgiastyczność i transowość muzyki wywodzącej się z rocka i techno, na przesycenie widowisk błazenadą i zgiełkiem – ale nie są to bynajmniej wynalazki czasów współczesnych, nawet jeśli Rzymianie nie posiadali wzmacniaczy i telebimów. Radzili sobie bez tego, a niektóre z ówczesnych igrzysk czy przedstawień teatralnych mogłyby przyprawić o zawstydzenie czy wstrząs nawet współczesnych bywalców parad techno czy rozmaitych gothic-fetish parties.

Dość powiedzieć, że kiedy żył Salwian (a było to przecież już po nominalnej chrystianizacji Cesarstwa), wciąż jeszcze rozgrywały się walki gladiatorów na śmierć i życie:

10. Mówię najpierw, że nic nie jest tak występne i tak haniebne, jak to, co ma miejsce podczas widowisk. Tam szczytem zmysłowej przyjemności jest oglądać umierających ludzi albo, co jest jeszcze bardziej przykre od oglądania samej śmierci, to patrzeć, jak dzikie zwierzęta ich rozszarpują i napełniają swoje brzuchy ludzkim mięsem, jak wśród radości widzów jedzą ludzi (...)

(str. 197)

Salwian zwraca też uwagę na wyrafinowanie tych praktyk – oto bowiem dokłada się wielkiej staranności (dziś rzeklibyśmy: profesjonalizmu) przy ich organizacji, a w ramach specjalnych wypraw dociera się do najdzikszych zakątków kraju, by tam złowić pożądane dzikie zwierzęta.

Innego typu rozrywki również mają dekadenski, zmysłowy charakter:

15. I z pewnością długo można by teraz mówić o wszystkich amfiteatrach, to znaczy o błaznach, uroczystych korowodach, atletach, linoskoczkach, mimach i innych potwornościach, o których mówienie napawa wstrętem, a czymś przykrym jest znajomość tego rodzaju zła. (...) W teatrze (...) żaden z naszych zmysłów nie jest wolny od błędów (...). Wszystko do tego stopnia przesyczone jest rozpustą, że zapewne jakakolwiek mowa na ten temat nie może mieć miejsca bez narażenia na szwank poczucia wstydu. 17. Któż bowiem nie zraniłby poczucia skromności, mówiąc o naśladowaniu tych sprośności, o bezwstydnie wykrzykiwanych sowach, o niemoralnych poruszeniach, o wzbudzających niesmak ruchach ciała.

W gruncie rzeczy uwagi te moglibyśmy bez większych zmian przenieść na współczesną popkulturę filmową rodem z Hollywood lub też odnieść je do gwiazdek muzyki popularnej (jak Rihanna, Madonna, Beyonce – czy kto akurat jest na topie).

Nauki Salwiana pełne są tego rodzaju uwag, które same w sobie nie są może zbyt odkrywcze (zwłaszcza gdy autor powtarza je wiele razy), niemniej dają interesujący obraz ówczesnego społeczeństwa. Społeczeństwa, które traci grunt pod nogami, ulega naporowi barbarzyńców, rozpada się – a jednak nie ustaje w swoich przewrotnościach. Jest coraz uboższe, coraz dalsze od bogactwa czasów świetności Rzymu – a jednak to, co ma, trwoni na prymitywne rozrywki. Jest coraz słabsze, a jednak dobija się samo, na przykład poprzez napędzanie wyzysku słabszych przez klasy wyższe. Barbarzyńcy są już u bram – jako fatum, ale i oczyszczenie.

Salwian z Marsylii, Dzieła wszystkie, Wydawnictwo UKSW Warszawa 2010.

Roch Witczak

George Forestier

W 1952 roku ukazał się światu tomik poezji nieznanego dotąd autora, George'a Forestiera, noszący tytuł *Ich schreibe mein Herz in den Staub der Straße* (Zapisuję swe serce w pyłe drogi). Było to pierwsze spektakularne fałszerstwo w niemieckiej powojennej literaturze, zawdzięczające swój sukces nie tylko wyjątkowemu talentowi rzekomego autora, ale również jego biografii zawartej w posłowniu.

Przedstawiony w niej, pochodzący z Alzacji Forestier, podczas II wojny światowej walczył po stronie Osi jako ochotnik *Waffen-SS* na froncie wschodnim. W 1945 r. dostał się do amerykańskiej niewoli, z której uciekł aż do Marsylii, gdzie został zatrzymany przez policję. Tam w ramach Legii Cudzoziemskiej otrzymał przydział do służby w Indochinach, skąd w listach do przyjaciół wysyłał swe wiersze, by następnie jesienią 1951 r. zagiąć bezpowrotnie w dżungli po wyruszeniu ze swoim oddziałem, pozostawiwszy po sobie jedynie tomik poezji, który przed wymarszem przekazał jednemu ze swoich towarzyszy broni.

Zachwycony ideą zjednoczonej Europy młodzieniec, który uciekł z rodzinnego domu, by walczyć jako ochotnik w oddziałach *Waffen-SS*, rozczarowany wojną, następnie zaciągający się do służby na

końcu świata by, skazany przez Francuzów na śmierć, ratować swoje życie, a ponadto poeta - powojenna niemiecka młodzież nie mogła marzyć o lepszym symbolu. W poezji Forestiera mogła odnaleźć zarówno własny entuzjazm, jak i własne rozczarowanie, gdyż ta, podobnie jak jego biografia, przepełniona egzotyką i militaryzmem, pozwalała uciec od dylematów związanych z losami Europy. Egzystencjalizm bijący z wierszy i rozczarowanie współczesnością przyciągało wielu czytelników.

Karl Emerich Krämer, rzeczywisty autor wierszy, część z nich przesłał w marcu 1952 r. do wydawnictwa Eugena Diederichsa, jako jeden z tych przyjaciół, do których pisał Forestier (podając się za dr. Karla Friedricha Leuchta). Jako kierownik produkcji i jeden z właścicieli tegoż wydawnictwa, doskonale wiedział jak spreparować udawaną autentyczność tekstów: uratował nieczytelny tekst poematów z pojedynczych słów.

Krämer był urodzonym w 1918 r. poetą. Studiował nauki polityczne oraz germanistykę na uniwersytetach w Bonn i Frankfurtach, studia te jednak przerwał po wybuchu wojny, by służyć jako żołnierz i ukończyć je z doktoratem dopiero w 1949 roku. W 1943 r. został ciężko ranny podczas walk na froncie wschodnim. Mimo to, w Hitlerjugend, do którego dołączył w młodości, mianowano go wówczas na Oberbannführera. Dzięki wyraźnej sympatii dla idei narodowego socjalizmu uzyskał on wsparcie ze strony rządu, dzięki któremu wydał wiele swoich prac i już wtedy odniósł literacki sukces. Pod koniec wojny pełnił funkcję specjalnego przedstawiciela Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, co poskutkowało internowaniem przez aliantów do maja 1946 roku oraz zakazem publikacji tekstów, mimo którego nie przestał wydawać swoich prac. Podczas internowania poznał SS-mana Förstera, którego nazwisko i historia stanowiły inspirację dla jego dalszej twórczości. Zmarł w 1987 roku.

Ma pieśń dla Europy

Stara Europa

Jeszcze nie umiera,

Pod wypalonymi bliznami

Żywo tętni jej krew,

Płynie kanałami,

Tętnicami, żyłami,

Pędzi przez człony,

I naczynia serca,

Zalewa ruiny,

Popioły i gruzy
Aż do Nogatu,
Wisły i Odry,
Tętni w wybrzeżach
Kanału i Atlantyku.

Sercem jej Rzym,
Innym jest Paryż,
Londyn, Berlin,
Haga i Madryt.
Stara Europa
Ma wiele serc,
Ma wiele koron,
Które nie zgasną.

Powiedz Moskwa i poczuj:
Jesteś sam.
Wezwij Nowy Jork
I jesteś
Na obczyźnie.

Szanghaj, Benares
Są tylko przygodą,
Sidney i Rio:
Pozdrowieniem z daleka.

Gdzie sen Twój
Cię także poniesie,
Zawsze powrócisz
Do domu - do Aten,

Do Wiednia czy Oslo.

Wymów tylko: Europa,

I wsłuchaj się w swe serce.

Między ogniem a lodem

Tli się kwietniowe powietrze.

Niebo coraz bliższe

I słodsza jest Ziemia.

Izby są wąskie

I pełne uczucia.

Blisko przy sobie,

Czujesz mogiły,

Czujesz Ojców

Z każdym krokiem.

Szept Twego serca:

Europa nie umiera.

Nie może umrzeć,

Dopóki ją kochasz.

Agata Hammermeister

Potęga świadomości

Fala „ekspertów od rozwoju osobistego” stanowi plagę pustoszącą umysły społeczeństw Zachodu

i – niestety – przybiera na popularności w naszym kraju. Najwyższa pora wypowiedzieć wojnę tym współczesnym szarlatanom i zadać kłam teoriom przez nich głoszonym. Skala ich oszustw przekroczyła granicę krytyczną. Kłamstwa owych ludzi przedzierają się do świadomości

powszechnej. Nie można pozwolić na to, żeby wsiąknęły w nią głębiej. Tekst ten ma być odpowiedzią na poczynania wszystkich „kołczów”, „trenerów osobistych” i innych (fałszywie) życiowych mentorów. Ponadto zamierzam w nim zaproponować, a właściwie przypomnieć wartość metod skutecznej pracy nad sobą, które niesie ze sobą europejska tradycja intelektualna i – nierozłączne z nią – wartości chrześcijańskie.

Nie da się ukryć, że fenomenem w występowaniu takich mas „mistrzów samorozwoju” jest bardzo szerokie grono ludzi, którzy dają się przez nich oszukać. Czym są owe tezy i na czym polega ich szkodliwość? Podstawy wchodzące w zakres tzw. psychologii sukcesu to między innymi:

postawa otwartości na zmiany;

samoświadomość;

posiadanie strategii.

Już sama nazwa dziedziny (pseudo)nauki, do której zaliczają się te fundamenty rozwoju osobistego, budzi wątpliwość. Nauka bowiem ma prowadzić do odkrycia prawdy w zakresie jej przedmiotu, a nie do osiągnięcia życiowych przyjemności, pozornego szczęścia, czy samozadowolenia. Retoryka stosowana przez wyznawców psychologii sukcesu stwarza pozór dającej nadzieję na lepsze jutro. Czytając teksty niektórych z nich lub słuchając ich wypowiedzi po głębszym zastanowieniu można dojść do wniosku, iż oni z życia chcą zrobić produkt lub przedmiot, którym można dowolnie manipulować. Analiza pozwala również na spostrzeżenie, że jedynym obiektem manipulacji w ich wykonaniu stają się ich odbiorcy. Wracając do wyróżnionych wyżej czynników – każdy z nich na pierwszy rzut oka nie brzmi groźnie. Koniecznym jest w związku z tym przyjrzenie się im z bliska.

Otwartość na zmiany, która jest forsowana przez środowisko psychologii sukcesu, nie polega na gotowości do przyjęcia konstruktywnej krytyki lub na wewnętrznej formacji. Jej istotą jest zamiar wpisania się w zespół wydumanych praktyk, które mają rzekomo prowadzić do szczęścia. Jedną z podstawowych nedorzecznosci tego typu postawy jest pochodzenie owych wytycznych, które mają dać szczęście. Określenie „wydumane” nie zostało użyte tutaj przez przypadek. Ich źródłem są bowiem przemyślenia „klasyków” psychologii sukcesu, którzy swoje poglądy ukształtowali będąc najczęściej praktykami biznesu. Takie pochodzenie może i nie hańbi, ale z pewnością ukierunkowuje ku wypaczonemu postrzeganiu szczęścia. Nadaje mu bowiem pryzmat materialistyczny, czy wręcz konsumpcjonistyczny. Takie spojrzenie na zagadnienie szczęścia omija w całości sferę ducha. Ogranicza je do hedonistycznych, ziemskich przyjemności.

Samoświadomość zwolennika psychologii sukcesu nie jest klasycznym stanięciem w prawdzie o sobie, ale polega na wygórowanym przekonaniu o możliwościach przekroczenia barier, które ograniczają przeciętnych ludzi. Mają one wynikać z rzekomej „potęgi podświadomości” i kluczem do niej. Owe drogi do wykorzystania naszych nieświadomych obszarów umysłu również wytyczyli wspomniany wcześniej biznesmeni. Nie mają one nic wspólnego z radami spisanyymi między innymi w świętych księgach, czy pismach mistrzów życia duchowego.

Moda na wyznaczanie sobie życiowych celów, które polegają na pysznym stawianiu coraz wyżej swojego pułapu potrzeb osiągniętych pieniądze, już weszła w świadomość mas. Podstawowym celem każdego człowieka jest zbawienie. Mówienie o tym i o szczególnej wartości cnotliwego życia przeszło do lamusa. Zastąpił je wyścig szczurów – powszechna wola zaspokajania coraz dalej idących zachcianek. Czy to droga, którą powinno zmierzać zdrowe społeczeństwo?

Na tym etapie warto zaznaczyć, że nie wszystkie osoby zajmujące się pomocą innym w ich rozwoju osobistym serwują jego wypaczoną wersję. Taka teza byłaby krzywdząca dla wielu ludzi, którzy sprawie pracy nad własną osobowością poświęcają się uczciwie – nie chcąc jedynie żerować na nieświadomych rzeszach pochłoniętych kapitalistycznym, szczurzym pędem za pieniądzem. Myślę, że porównanie wszelkiej maści „kołczów” do sofistów byłoby wybitnie krzywdzące dla tych drugich, ale sytuacja ze starożytnych Aten, w których to tylko Sokrates próbował dochodzić do prawdy, a nie zbijać biznes na nauce kłamstwa, czy życia w kłamstwie, wydaje mi się być dobrze obrazująca to, co teraz dzieje się w społeczeństwach Zachodu. Współczesnym Sokratesem może być każdy z nas, ale obierając jego drogę należy pamiętać o jej możliwych konsekwencjach. Bohatera ówczesnych Aten skazano na śmierć. Dzisiaj krocząc drogą prawdy jest się skazanym jedynie na wyszydzanie, bycie „persona non grata” w niektórych kręgach. Ciężko ocenić liczebne proporcje współczesnych sofistów i ich uczniów oraz Sokratesów, które istnieją choćby wśród Polaków, ale nadzieję na przyszłość budzi coraz szerszy zasięg oddziaływania organizacji katolickich i narodowych. Dlaczego? Niewiele innych kręgów forsuje klasyczne podejście do zagadnienia rozwoju osobistego. Programy formacyjne wspomnianych grup najczęściej są kompleksowe – dotyczą zarówno sfery intelektualnej, jak i psychicznej, niekiedy nawet fizycznej. To one przypominają o pokorze, cnotach kardynalnych, zbawieniu jako celowi ostatecznemu. Niewątpliwie wartości niesione przez te kręgi, choć niestosowane idealnie w praktyce przez ich członków, mają umocowanie w chrześcijaństwie i europejskiej filozofii, które funkcjonują znacznie dłużej niż system demoliberalny.

Michał Walkowski

XXI wiek – wiek walki przeciw nowoczesnemu światu

Kto nie odwraca się plecami do współczesnego świata, ten okrywa się hańbą. (Nicolás Gómez Dávila)

Przez ostatnie kilka tygodni towarzyszyły mi napięcie, nerwy, chwile załamania, związane z egzaminami w sesji. Równolegle, ponieważ jest to już czas wolny od wykładów, ćwiczeń i konwersatoriów, jest czas na refleksje o tym, w jakim kierunku zmierza współczesny świat. Do jakich celów dąży człowiek w dzisiejszym świecie? Jaki wpływ na kształtowanie się młodzieży mają

nasi rodziciele, starsi oraz przodkowie z naszej historii, a jaki – idole pop-kultury? Jak mocno we wszystko wsiąknął materializm? Życie stawia przed nami szereg pytań, na które trzeba samemu sobie odpowiedzieć. Kształtowanie swojej niezależnej myśli pozwoli coraz bardziej na kontestowanie rzeczywistości, która dla młodych nacjonalistów nie jest kolorowa, pomijając modę na patriotyzm czy rosnącą dbałość o naszą historię.

Dlaczego XXI wiek jest wiekiem, w którym walka przeciw współczesnemu światu winna być mocniejsza niż dotychczas? XXI wiek przyniósł sukces kosmopolitycznych ideologii, które zdominowały umysły młodych Europejczyków. Liberalizm, hedonizm, konsumpcjonizm, globalizm i moralny relatywizm biorą zwłaszcza na Zachodzie górę nad Wiarą, Tradycją, porządkiem i europejską kulturą. Dzisiaj ze strony eurokratów znaczącym fundamentem wychowania dziecka jest szkoła, a nie rodzina, która powinna być fundamentem państwa narodowego. Można mimo wszystko zauważyć bardzo niepokojące trendy wśród rodziców –beztresowe wychowanie oraz nadmierne rozpieszczanie dzieci poprzez wpajanie im materializmu kosztem rozwoju duchowego. Charakteryzuje to zwłaszcza bogate rodziny, ustawione już w życiu, nie martwiące się o niedostatek materialny oraz wychowujące dzieci w duchu egoistycznej walki o kariery, sukcesy, dobra osobiste kosztem wspólnot etc. Idealizm warunkujący nasz bunt zaś w oczach starszych osób (nawet rodziców) może być obiektem drwin, puknięć w głowę oraz śmiechów, ponieważ jest przeciwieństwem ciągłego pragmatyzmu, obliczania w mózgu wszelkich korzyści, jakie miałyby przynieść np. zaangażowanie się w parlamentaryzm, zawieranie sojuszy z podejrzanymi środowiskami czy podjęcie gry *va banque*. I sprowadza tym samym nasze życie tylko do sfery zysków i strat z egoistycznych korzyści, jakie można by uzyskać.

Im bardziej wzrasta w siłę antynarodowe lobby, umacniają się antyludzkie nurty zagrażające naszym duszom, a nasi wychowawcy z czasem popadają w marazm, tym mocniej musimy kształtować w sobie te Wartości, zdobywać wiedzę z różnych dziedzin, czytać literaturę oraz budować swoją konkulturę. Konkulturę mogącą skutecznie walczyć z pop-kulturową papką, zwalczać hedonistyczny kult nagiego ciała i zastępować go kobiecą skromnością i pobożnością, dbać o to, by mężczyzna był mężczyzną zdolnym bronić siebie, rodziny, kraju i Boga, nie zaś „rurkowcem”, a egoizm i indywidualizm zostały zniszczone na rzecz dbałości o naszą Ojczyznę, Polskę, oraz kulturowe dziedzictwo Europy. Europy łacińskiej, nie tej z 1968 roku. Mikis Mantakas, Alain Escoffier, Sergio Ramelli, Franco Bigonzetti, bohaterowie Lat Ołowiu, hiszpańscy falangiści, legioniści, rexiści, polscy narodowi radykałowie – oni wszyscy chcieli zmienić otaczającą ich szarą i okrutną rzeczywistość, jaka panowała w ich Ojczyznach. Dlatego oparci o te wzorce musimy walczyć w obronie Wiary i Tradycji. Ponieważ jeśli Europa nie powróci do swoich ideowych fundamentów, to skazana jest na zagładę abstrahując czy od bomb i kul islamistów, czy kulturowej głupoty lewicy.

Adam Busse

„Lepka purpura łódzkich kwiatów” – niełatwa historia rewolucji 1905 roku

-
Żyję w mieście rewolucji; w mieście upadłego przemysłu włókienniczego, filmowego i wciąż upadających kamienic. Każdego roku, w czerwcu, lewica przypomina mieszkańcom Łodzi o rewolucji 1905 roku i o jej lokalnym epizodzie znanym jako „Powstanie Łódzkie”. Co roku Krytyka Polityczna odkurza swój czerwony sztandar, zaciska pięść nucąc „Warszawiankę”. Niejeden strajkujący w 1905 roku robotnik utożsamiał się z Polską dużo bardziej, niż antyklerykalni obrońcy tęczy zapatrzeni tęskno na Zachód. Niestety, dla części narodowców, rewolucja 1905 roku pozostaje wyłącznie „próbą wprowadzenia komuny”. Odrzucamy koncepcję walki klas, ale czy to oznacza, że walka się nie toczy?

Podczas debaty² pomiędzy środowiskiem łódzkich narodowców, a resztą świata, pewien historyk związany z Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi zarzucił nam, że traktujemy historię wybiórczo – chwalimy się tym, co wspaniałe, milcząc o tym, co niewygodne. Z pewnością niewygodną jest historia rewolucji 1905 roku na terenie Królestwa Polskiego, m.in. z uwagi na rzekome zaangażowanie endecji po stronie caratu.

O wydarzeniach z lat 1905-1907 można pisać długo i ciekawie, tylko po co, skoro powstało na ten temat dostatecznie wiele (mniej lub bardziej) godnych polecenia prac³. Mimo swego zamiłowania do historii, narodowcy nie podejmują tego tematu, choć kwestia wystąpień robotniczych powraca jak bumerang w dyskusjach z lewicą. Ileż to razy zarzucała nam (o ironio!) strzelanie do robotników. Co zatem robić? Przepraszać, zaprzeczać, czy „masakrować lewaka”?

W jedności siła?

O co toczyła się walka: o 8-godzinny dzień pracy, rząd dusz, czy o niepodległość Polski? Dla wielu, określenie „lewica patriotyczna” to oksymoron. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę historię najnowszą. A przecież polska lewica nie od zawsze prezentowała wiernopoddańczy stosunek wobec silniejszych, oddając Polskę pod „opiekę” – sowiecką, czy unijną. Nieznaną pozostaje postać Bolesława Limanowskiego, określanego mianem „nestora polskiego socjalizmu”, który odrzucał walkę klas jako aksjomat i jedyną drogę przemian. Przełomem miała być niepodległość Polski, a dopiero później reformy przeprowadzone w duchu demokratycznym. Tym właśnie tropem podążała Polska Partia Socjalistyczna i Józef Piłsudski⁴ (przynajmniej w 1905 roku).

Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, na czele z Różą Luksemburg, otwarcie i zajadle krytykowała hasła niepodległościowe PPS, określając ją jako partia nacjonalistyczna (sic!): „w odpowiedzi na narodowościowe hasła PPS, [SDKPiL – M.N.] zaczęła zdecydowanie podkreślać swój nie tylko internacjonalizm, ale także antynacjonalistyczny charakter i to właśnie spowodowało tak ostrą reakcję reszty socjalistów polskich”⁵. Luksemburg nie tolerowała „socjal-patriotów”, jak zwykła określać działaczy PPS. W swych publikacjach pytała kpiąco, „czy odbudowanie Polski wybawi robotników z nędzy?”. Co ciekawe, Róża Luksemburg twierdziła, że przemysł Kongresówki istniał i rozwijał się tylko wskutek politycznej przynależności do Rosji i tak też powinno pozostać – rzecz jasna, „dla dobra robotnika polskiego”. Nie było zatem mowy o niepodległej Polsce. Wobec tego faktu, rzekomy lojalizm i rusofilstwo Dmowskiego wypadają blado. Dość przytoczyć słowa Feliksa Perla, polskiego socjalisty żydowskiego pochodzenia: „Socjaldemokracja nigdy nic

pozytywnego i twórczego do ruchu robotniczego w Polsce nie wniosła, ale żyła tylko negacją rewolucyjnych dążeń polskich i głóśzeniem, że w imię solidarności z robotnikiem rosyjskim i niemieckim robotnik polski ma się pogodzić – z najazdem! Było to przeniesienia na grunt robotniczy ideologii burżuazyjnej ugody”⁶ Trudno zatem rozpatrywać rewolucję – z punktu widzenia przywódców SDKPiL – w kategoriach „powstania narodowego”.

Niebezpieczne związki

Trzecią siłą rewolucji był Bund – w języku jidysz oznacza „związek”. Pełna nazwa tego ugrupowania to „Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji”. Socjaliści, przeciwnicy ortodoksów podkreślający, że Żydzi to przede wszystkim naród, a nie wyłącznie wspólnota religijna (!).

W Łodzi, jak w soczewce, skupiły się konflikty nie tylko klasowe i partyjne, ale także narodowościowe i wyznaniowe. Znamienne, że w tym wielokulturowym mieście w zaborze rosyjskim, wśród wielkich fabrykantów dominowali Niemcy i Żydzi. Na przełomie maja i czerwca w Łodzi strajkowało około 32 tys. robotników. Fabrykanci Kunitzer, Heinzel i Scheibler ogłosili lokaut. Po masakrze robotników z 21 czerwca 1905 roku, z inicjatywy lokalnych działaczy SDKPiL i Bundu, na 23 czerwca zaplanowano strajk generalny. W nocy z 22 na 23 czerwca wzniesiona barykady na ulicach miasta. Rozpoczęło się Powstanie Łódzkie. W całym powiecie, władze ogłosiły stan wojenny. Potkański pisze o nastrojach rewolucyjnych, które zaskoczyły nawet ich przywódców: „na nic zdawały się w tym wypadku apele i odgórne kierowanie, sytuacja wymykała się po prostu spod kontroli partii politycznych”⁷. „Kolejne demonstracje były już bardziej agresywne i na ogół kończyły się wymianą strzałów lub co najmniej zniszczeniem kilku sklepów czy urzędów. Z czasem dochodziło niestety do karygodnego wprost bandytyzmu i zatarcia poczucia cudzej własności i mienia.”⁸ Władze carskie też nie przebierały w środkach – krwawo tłumiły nawet pokojowe demonstracje.

Zauważmy, że dziś rolę się odwróciły: to narodowcy organizują demonstracje, a „spadkobiercy” ideałów SDKPiL nazywają ich „zbiegowiskiem hołoty”. Śmieją się, że tkwimy w historii Żołnierzy Wyklętych lub „dawno obalonej komuny”. Sami zaś, raz do roku wnoszą zaciśnięte pięści, przypominając sobie o „klasie pracującej”. Zapominają tylko, że w Łodzi nie ma już dymiących kominów fabryk, co w dużej mierze „zawdzięczamy” pokojowemu „obaleniu komuny”. Dla tych samych ludzi, wybijanie szyb w sklepach żydowskich w ramach bojkotu żydowskiego handlu to przejaw karygodnego antysemityzmu, lecz wybijanie szyb w sklepach podczas rewolucji 1905 roku – walka o godność pracownika.

Z caratem (czy) przeciw rewolucji?

„Doprawdy piekłem jest Królestwo. Cały ten syfilis polityczny, którym nas zarażali Moskale przez lat czterdzieści, wysypał się obecnie i nie wiadomo, kiedy się to skończy”⁹ – tak pisał Dmowski w liście do Zygmunta Miłkowskiego w 1906 roku. Stosunek narodowców do rewolucji to niezwykle kontrowersyjny aspekt. Odezwy Ligii Narodowej z 1905 rok zdradzały zarówno entuzjazm wywołany wybuchem rewolucji w Rosji – jako czynnik osłabiający carat, oraz strach przed rewolucją wzniesioną przez socjalistów, szczególnie tych „bez ojczyzny” oraz Żydów. Jednak nawet

patriotyczne hasła PPS przestały być dostatecznym powodem do wzajemnej tolerancji. Krytykowano Oddział Bojowy PPS za „bezsensowne akcje terrorystyczne”, a w konsekwencji śmierć setek Polaków: materiały wybuchowe domowej roboty, strzelaniny na ulicach; wysadzano mosty kolejowe np. między Łodzią a Pabianicami, próbowano wysadzić pomnik cara Aleksandra II w Częstochowie; z powodu braku uzbrojenia, zaczęto wykorzystywać „szpile” maszyn włókienniczych jako sztylety.¹⁰

Jeszcze w 1905 roku z inicjatywy Ligii Narodowej, z myślą o środowiskach robotniczych, powołano organizacje: Związek Młodzieży Rzemieślniczej im. Jana Kilińskiego, Związek Narodowy Młodzieży Robotniczej oraz Towarzystwo Oświaty Narodowej. Stworzono także stricte bojową organizację pod nazwą Stowarzyszenie Czujności Narodowej „Baczność”. Jak pisze Potkański, w skład tej prężnej, choć krótkowiecznej formacji, wchodziły „tajne i podzielone na oddziały organizacje bojowe mężczyzn i kobiet”¹¹. Później jej członkowie zasilili kadry Narodowego Związku Robotniczego.

NZR powstał w czerwcu 1905 roku. Od innych związków zawodowych odróżniał go przede wszystkim silnie akcentowany patriotyzm i odrzucenie dogmatu „walki klas”. Aktywnie zwalczał przejawy rosyjskiej obecności na ziemiach polskich (szyldy, święta rosyjskie), co nie współgra z mitem rusofilstwa endecji. Odżegnywał się od koncepcji strajków. Postulat narodowego solidaryzmu brzmi wprawdzie ładnie, jednak w praktyce okazywał wiele słabości, zwłaszcza gdy w jego imię dochodzi do bratobójczej walki. Dla przeciwników NZR, jego członkowie byli łamistrajkami.

Narodowcy od zawsze odrzucali postulat „walki klas”, przede wszystkim jako „materialistyczny”. Jednak fakt, że narodowcy potępiają walkę klas (czy walkę płci), nie oznacza, że ta walka się nie toczy. Wyobraźmy sobie spełnienie nacjonalistycznych marzeń: ziemia, handel i wszelkie gałęzie przemysłu w polskich rękach. Tylko co z tego, jeśli dzień roboczy wynosiłby 12 godzin, a stawka godzinowa - złotówkę. I kiedy nie można byłoby za ów stan winić międzynarodowych korporacji, Żydów i masonów, należałoby się przyjrzeć własnym, stricte polskim niedomaganiom.

Duch miejsca, czyli historia lokalna

Nowa lewica po raz kolejny okazuje się dużo bardziej pomysłowa. Opowiada lokalną historię na nowo, posługując się retoryką niepodległościową. Dużo ważniejszym niż roztrząsanie historii, jest właśnie ów regionalizm, o którym zapominają narodowcy. Historycyzm – nie! Historia – tak, ale szczególnie ta związana z miejscem.

Nie czuję się obciążona „spadkiem” decyzji politycznych Ligii Narodowej z lat 1905-1907. Nie czuję się w obowiązku błagać o przebaczenie za tłumienie strajków robotniczych. Uczynił to już zresztą sam Dmowski – 28 stycznia 1907 roku, „w sposób honorowy i dojrzały (podczas wiecu w gmachu Filharmonii Warszawskiej 28 stycznia 1907 r.) stwierdził, że publicznie przyjmuje na siebie całe brzemie i odpowiedzialność za walki bratobójcze, do jakich doszło w trakcie rewolucji.”¹² My też musimy? Tym bardziej, że dziś środowiska gardzące na co dzień polskością, mianują się

spadkobiercami czynu niepodległościowego. Choć jako ciekawostkę dodam, że podczas tegorocznych obchodów, w sobotę 18 czerwca, organizatorzy wyprosili grupkę uczestników posługujących się symbolem sierpa i młota¹³.

Jako Polka, łodzianka i nacjonalistka, czuję się dumna z historii mojego miasta, bez jej mitologizowania. Mimo tego, że część osiągnięć rewolucji na polu ekonomicznym zostało cofniętych pod naciskiem fabrykantów(!), należy pamiętać, że Powstanie Łódzkie przyczyniło się do stworzenia pierwszej szkoły z językiem polskim jako językiem wykładowym (Prywatne Progimnazjum Męskie J. Radwańskiego w Łodzi). Powtórzę więc przewrotnie za Romanem Dmowskim: „Wszystko co polskie jest moje: niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to co jest w nim marne.” To także nasza historia.

Marta Niemczyk

<https://www.radiolodz.pl/posts/15529-z-podworka-na-antene-sluchowisko-lepka-purpura-lodzkich-kwiatow> [dost. 20.05.2016]

2 <http://www.narodowalodz.pl/lodz/debata-w-liberte/> [dostęp 19.06.2016]

3 Interesującą, choć mało obiektywną jest praca Stanisława Kalabińskiego i Feliksa Tycha „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja. Lata 1905-1907 na ziemiach polskich”, wydana w 1976 roku. Co ciekawe, można w niej przeczytać wiele o stanowisku endecji wobec wydarzeń z lat 1905-1907 roku – i równie wiele na temat osobistego stosunku autorów do endecji;) Wątpliwości może budzić teza o entuzjastycznym przyjęciu rewolucji przez „ogromną większość ludności Królestwa”, czemu przeczą współcześni historycy.

4 Waldemar Potkański, Odrodzenie czynu niepodległościowego przez PPS w okresie rewolucji 1905 roku, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2008, s.25

5 Tamże, s.35

6 Tamże, s.38

7 Tamże, s.81

8 Tamże, s.152

9 Tamże, s. 149

10 Janusz Wojtasik, Aspekty militarne rewolucji 1905-1907 – między mitem a rzeczywistością, w: Dziedzictwo rewolucji 1905-1907, Warszawa-Radom, 2007, s.44

11 Waldemar Potkański, Odrodzenie czynu niepodległościowego..., s.150

12 Tamże, s.157

13 <http://lodz.wyborcza.pl/lodz/10,88279,20264510,marsz-na-111-lecie-rewolucji-awantura-o-sierp-i-mlot.html> [dost. 20.06.2016]

O uzdrowienie ochrony zdrowia

Polski system ochrony zdrowia jest dziś w opłakanym stanie, żeby to zrozumieć nie potrzeba skomplikowanych wyliczeń ekspertów, wystarczy potrzebować od niej pomocy. Oczywiście mowa o takiej pomocy, która przekracza skomplikowaniem wyleczenie przeziębienia. Kolejki do specjalistów przekraczają jakiegokolwiek normy, skazując pacjentów na pogorszenie stanu zdrowia lub prywatną wizytę. Nie wszystkich jednak stać na tę drugą opcję, która zresztą w prawidłowo działającym systemie zdrowotnym powinna być marginalna i wynikać co najwyżej ze snobizmu.

Przy okazji protestu pielęgniarek, zwyczajowo swoje odrażające głowy podniosły postulaty neoliberalne. Ich wykwit, jak zawsze, opierał się na wierze we frazesy, że wszystko, co państwowe musi działać niewydolnie i że rozwiązaniem jest rzucenie niedziałającego właściwie fragmentu gospodarki w wir wolnej konkurencji i inicjatywy prywatnej. Podstawowym błędem neoliberalistów jest właśnie postrzeganie każdej dziedziny życia wyłącznie jako "fragmentu gospodarki", przy czym ujawnia się doszczętne zmaterializowanie poglądów. Opieki zdrowotnej nie da się wpisać w prawo popytu i podaży, nie da się na niej zarobić przy pełnym zachowaniu etyki w działaniu. W pewnym momencie pojawi się przecież problem wyboru drogiego, długotrwałego leczenia, zapewniającego chociażby krótkie utrzymanie przy życiu człowieka, a odmówienie nieopłacalnego zabiegu medycznego lub opieki. Ile warty jest dzień, miesiąc, rok życia człowieka? Czy naprawdę tylko tyle, ile przez ten czas możemy na pacjencie zarobić? Państwowy system ochrony zdrowia może pozwolić sobie na działania nieekonomiczne, czego prywatne ośrodki nie mogłyby zrobić bez zaprzeczenia swoim dogmatom racjonalnego dążenia do zysku. Sprywatyzowanie opieki zdrowotnej byłoby szczególnie katastrofalne dla kraju takiego jak Polska. Nasz kraj cierpi na przewlekły niedobór kapitału, problem ten u nas rozwiązuje się doraźnie, ściągając zagranicznych inwestorów różnymi ulgami podatkowymi i polityką uległości wobec krajów-matek. W przypadku otworzenia systemu ochrony zdrowia na sektor prywatny w takim stopniu, jakiego oczekują neoliberali, doszłoby do zalewu rynku przez zagraniczne koncerny. W początkowym okresie niewykluczone, że doszłoby nawet do spadku cen usług medycznych, możliwe nawet poniżej kosztów produkcji usługi. Nie miałyby to jednak nic wspólnego ze "zbawiennym" działaniem wolnego rynku, którego ręka służy często wyłącznie do zepchnięcia z rynku konkurencji. Dalszy scenariusz jest dość łatwy do przewidzenia, po ustanowieniu monopolu następuje horrendalny wzrost cen, które musielibyśmy ponosić, ponieważ nie chodzi tu o typowy obrót dobrami konsumpcyjnymi, ale o handlowanie naszym zdrowiem. Nie ma nic gorszego niż zagraniczny,

prywatny monopol w tak ważnym, zarówno z perspektywy jednostki, jak i państwa, sektorze. Widać to dziś już np. w przemyśle farmaceutycznym, który poprzez nieuczciwie rozciągana w czasie ochronę patentową i zarazem monopolizację, sprawił, że ceny leków są bardzo wysokie i wielu ludzi na całym świecie zwyczajnie na nie nie stać, chociaż ich koszt produkcji jest stosunkowo nieduży. Gdy chodzi o tak kluczowe sprawy jak zdrowie, nie możemy ufać ślepym mechanizmom rynku czy spekulacjom w sposób szczególny. Co stałoby się z chorymi, gdyby firma świadcząca usługi medyczne, a zarazem oferująca ubezpieczenie, zbankrutowała? Zadłużony, państwowy szpital nie zostanie pozostawiony sam sobie, nie odmówi świadczenia usług, ponieważ nie jest przedsiębiorstwem, więc jego naczelną zasadą nie jest dążenie do zysku. Przestrożą przed prywatyzacją systemu ochrony zdrowia niech będzie dla nas opieka zdrowotna USA. Mało ważny okazuje się brak kolejek, przesyt w posiadaniu sprzętu medycznego najwyższej jakości przez placówki medyczne, gdy obywatele nie stać na leczenie ani diagnostykę. Ciężka choroba niejednokrotnie rujnuje finansowo całą rodzinę, zabiera dorobek życia. Ceny wynoszące dziesiątki tysięcy dolarów płacone za pobyt w szpitalu, to koszty, którym ciężko sprostać zamożniejszemu przecież społeczeństwu amerykańskiemu, a co tu mówić o nas - Polakach. Amerykanom trudno sprostać przy tym koszcie ubezpieczenia, także zamknięty krąg braku pomocy się zamyka.

Współistnienie prywatnej i publicznej opieki zdrowotnej w szerszym zakresie i wprowadzenie możliwości wyboru między nimi, tym wyboru gdzie wpłacać składki ubezpieczeniowe, nie rozwiązałyby żadnych problemów, tym bardziej natury ekonomicznej i rodziłyby tylko kolejne pola do nadużyć. Ośrodki prywatne podejmowałyby się wykonywania tylko opłacalnych zabiegów, natomiast te najdroższe, "nieopłacalne" musiałyby i tak wykonywać państwowe punkty opieki medycznej - co przyczyniłoby się do jeszcze większego pogłębienia deficytów w budżetach szpitali państwowych. Nastąpiłoby niekorzystne zjawisko "uspołecznienia strat" przy "zmonopolizowaniu zysków".

System opieki zdrowotnej powinien być wyłącznie częścią sektora publicznego, niemożliwe wydaje się jednak zlikwidowanie prywatnych praktyk lekarskich, tym bardziej za pomocą rządowej ustawy. Potrzebne są do tego wydolne, dobrze wykonujące swoją pracę i odpowiednio wyposażone publiczne ośrodki opieki zdrowotnej. Pierwszym i niezbędnym krokiem do osiągnięcia tego celu jest zwiększenie wydatków na służbę zdrowia. Jesteśmy jednym z tych krajów świata, które na system ochrony zdrowia wydają najmniej (procent przeznaczanego PKB). Następnie należałoby wprowadzić szereg zmian strukturalnych, zapewniających większe zatrudnienie personelu medycznego. Obowiązek pracy w kraju, przez z góry określony okres czasu, dla absolwentów studiów medycznych, od pielęgniarek do lekarzy, stanowiłby dobrą podstawę tych zmian. Nasz kraj rokrocznie wypuszcza na rynek pracy tysiące młodych absolwentów. Wielu z nich opuszcza kraj, poszukując lepszych zarobków, co biorąc pod uwagę koszty, jakie ponosi państwo w trakcie kształcenia, jest ewidentnym marnotrawstwem środków publicznych. Warto byłoby więc wprowadzić obligatoryjny okres pracy w państwowych ośrodkach opieki medycznej lub w wyjątkowych przypadkach konieczność zwrócenia państwu kosztów kształcenia. Dodatkowo warto

walczyć w systemie ochrony zdrowia, jak w każdej dziedzinie, z korupcją i innymi nadużyciami, które zawsze przynoszą tylko straty. Należy w tym miejscu rozważyć słuszność rozwiązania stosowanego w Kanadzie, które bezwzględnie zakazuje pobierania pieniędzy przez lekarzy za usługę wpisaną na listę refundacyjną, pod groźbą surowych kar finansowych.

Problemy systemu ochrony zdrowia muszą być rozwiązywane ponad politycznymi podziałami, nie mogą stać się one częścią bieżącego sporu. Potrzeba wywierania nacisku na stronę rządzącą jest ogromna i usprawiedliwiona. Nie można dopuścić do zaakceptowania retoryki, z którą tak często mamy do czynienia obecnie. Nie każda krytyka rządu odbywa się pod sztandarami Komitetu Obrony Demokracji i nie każdy strajk jest inspirowany przez partyjną opozycję w celu obalenia rządu Szydło. Prawicowy mainstream chce wykreować atmosferę, w której każda krytyka rządu czy chęć zmian będzie zbliżała do władzy poprzednią ekipę rządzącą i będzie utożsamiana z jej popieraniem. Oczywiście jestem daleka od stwierdzenia, że strajki nie są wykorzystywane przez niektóre partie do zbijania politycznego kapitału. Wyraźnie widać to na przykładzie partii Razem, która na protestach mniej skupia się na problemach strajkujących, a o wiele bardziej na autopromocji. Niech świadczy o tym chociażby ilość flag Razem na strajku pielęgniarek, z którego to strajku zdjęcia miejscami przypominały bardziej wiec partyjny niż protest. Przed kamerami środowiska kawiorowej lewicy kreują się na prospołeczne inicjatywy, w rzeczywistości jednak lewica już dawno wyzbyła się swojego społecznego oblicza, co przypieczętowało jej upadek, zresztą sama to już dziś zauważa, próbując udawać, że znów stoi po stronie większości - po tej jednak stronie nie ma już dla niej miejsca.

Maria Pilarczyk

Fenomen sportowego patrioty

Zawsze zastanawiałem się jak to jest albo co jest w tym polskim sporcie magicznego, że podczas większych imprez z udziałem naszej reprezentacji, wszyscy, bez wyjątku, nagle stają się Polakami. Bez względu na swoje poglądy polityczne: anarchistyczne, lewackie, prawicowe czy globalistyczne. Wszyscy kibicują naszym polskim sportowcom. Jak wygrają to przedstawiciele wyżej wymienionych grup odczuwają wielką dumę, ale potem oczywiście, a zwłaszcza nasi przeciwnicy, się do owej dumy narodowej nie przyznają. Co jest istną hipokryzją z ich strony.

Ale wracając do fenomenu zjawiska. Szaliki, wuwuzele, czy innej maści gadzety biało-czerwone. Flagi wywieszane w domach, w autach, na czas chociażby tegoroczne EURO. Pomimo, iż owy element jest strikte komercyjny, a nawet bardzo to jednak cieszy oko fakt, że chociaż na te parę tygodni naród jest jeden. Nie ma podziału na zwolenników PO, PiS, Nowoczesna, KUKIZ 15 czy też

zupełnych przeciwników partii politycznych. Inną sprawą jest to, że władza ten fakt brutalnie wykorzystuje. Ale mimo to na czas Mistrzostw Europy, Mistrzostw Świata w piłce nożnej, siatkówce i lekkiej atletyce, oraz Olimpiadzie Letniej i Zimowej następuje czas, że Polacy klócą się najmniej.

Bo tak naprawdę dziś tylko sport jest spoiwem które łączy nasz naród. Ten sportowy patriotyzm jak go w sumie można nazwać. To dzięki niemu tak naprawdę nasza tożsamość narodowa nie przepadła. On zasiał, zwłaszcza wśród młodych tak zwany gimbo-patriotyzm, ale także od niego swą ideową drogę zaczynało wielu, jak nie większość polskich narodowców czy nacjonalistów.

Więc jeśli ktoś teraz wyśmiewa się z obecnego „kibicowskiego szaleństwa” względem naszej reprezentacji, a na co dzień jest czynnie działającym narodowcem/nacjonalistą powinien się mocno zastanowić, czy jest godny nazywać siebie tym narodowcem/ nacjonalistą. Bo wyśmiewanie się z tego zjawiska, nie rozważając pozytywnych jego aspektów, jest po prostu głupie.

Kacper Sikora

Euro czyli Thiago Cionek, januszopatriotyzm i multikulti

Trwający we Francji turniej to dobry moment, żeby poruszyć kilka kwestii, mianowicie multikulti, „januszopatriotyzmu” i pewnego obrońcy regularnie powoływanego przez Nawatkę.

Mistrzostwa Świata czy Europy to takie imprezy, że przez miesiąc cały świat żyje piłką nożną. To niestety także święto multikulti. Trudno o bardziej dobitny przykład dzisiejszego upadku Europy niż Mistrzostwa Europy gdzie ledwie kilka drużyn to prawdziwe reprezentacje narodowe bez imigrantów i ich dzieci. Polska, Rumunia, Węgry (Nikolić gra dla kraju swojej matki), Islandia to wyjątki.

Oglądając mecz otwarcia kibicowałem zdrowej drużynie narodowej grającej przeciwko zbieraninie „uchodźców” wzmocnionej przez 4 Francuzów, Szwajcaria ma podobny zespół, zdecydowana większość reprezentacji na Euro ma w swoich składach zawodników, którzy nigdy nie powinni się tam znaleźć. Nazwiska i kolor skóry sporej części piłkarzy na turnieju we Francji zdecydowanie nie pasują do hymnów granych przed meczami. Mecz Albanii ze Szwajcarią, kiedy bracia Xhaka stanęli naprzeciwko siebie, a spora część „Helwetów” pochodzi z kraju, którego królem obwołał się pewien polski raper pokazał jak dzisiaj wygląda Europa.

Kibicując reprezentacji Polski złożonej z 23 Polaków mam świadomość, że większość Europejczyków może tylko o czymś takim pomarzyć. Pamiętam czasy Smudy kiedy po dwóch Niemców i Francuzów hańbiło reprezentacyjne koszulki. Wcześniej Roger i Olisadebe dostali obywatelstwo bo parę razy

kopnęli prosto piłkę grając w klubach z Warszawy. Zaraz zaraz czy o kimś nie zapomniałem? Fakt, Thiago Cionek urodził się w Brazylii, polski paszport ma dopiero od kilku lat, ale jest Polakiem niezależnie od tego co sądzi redaktor Stanowski. Obrońca Palermo od dziecka zna polską kulturę i język, grając w Jagiellonii zadbał, żeby nauczyć się mówić naprawdę dobrze. Ciekawe czy twórca Weszło i Wyszło protestował by tak samo gdyby Nawałka powołał Polaka z Kazachstanu? Albo Lwowa czy Wilna? Ciężko stawiać piłkarza z Kurytyby w jednym szeregu z Obraniakiem, który nigdy nie miał zamiaru uczyć się polskiego. Zawsze będę przeciwnikiem powoływania do kadry narodowej „farbowanych lisów”, ale zawsze będę bronił autentycznych Polaków z Kresów czy potomków starej emigracji, którzy zachowali język, kulturę i tożsamość, a Thiago Cionek zdecydowanie zalicza się do tej drugiej grupy.

Niestety nie umiemy wykorzystać gry Thiago Cionka w reprezentacji, TVP Polonia powinna nakręcić duży reportaż o Polaku z Kurytyby na Euro i w ten sposób rozbudzać świadomość narodową tamtejszej Polonii. Kurytyba to miasto gdzie od 90 do nawet 300 tysięcy ludzi ma polskie korzenie, działają polskie szkoły, parafie, prasa czy organizacje społeczne i kulturalne. Niestety nasze państwo nie umie i nie chce wspierać rodaków mieszkających poza granicami kraju. Pozostawiając te społeczności bez wsparcia z kraju skazujemy je na asymilację, tymczasem zdrowe państwo powinno wspierać życie narodowe poza swoim terytorium. III RP programowo zaniedbując sprawy Polaków na Kresach i w Kazachstanie wydaje się w ogóle nie pamiętać o tych w Brazylii czy USA, tymczasem mamy problem z kolejną falą masowej emigracji na zachód Europy. Jeżeli nie wypracujemy modelu rozwoju polskiej kultury i życia narodowego poza granicami kraju bardzo szybko Polacy tam zamieszkali stracą tożsamość narodową. Dla nacjonalistów nadarza się doskonała okazja do promowania hasła „Jeden naród ponad granicami” i poruszenia tematu Polonii i Polaków na Wschodzie. Na łamach Szturmu debiutowałem tekstem „Zapomniane Kresy” gdzie pisałem o zbyt małym zainteresowaniu naszego ruchu Polakami zamieszkałymi na wileńszczyźnie, grodzieńszczyźnie czy Ukrainie, o Polonii nie pamięta niestety nikt, teraz nadarza się okazja, żeby to zmienić.

Reprezentacja Polski gra na tych mistrzostwach naprawdę dobrze co oprócz oczywistej radości z dobrego wyniku przedłuża turniejowy szal „januszopatriotyzmu”. Euro to taka impreza kiedy wuchta wiary mocniej poczuwa się do swojej polskości, dobrze pompuje patriotyzm i to jest piękne. To zjawisko będzie tym silniejsze im lepiej nasza kadra będzie grała, podobnie było z sukcesami Małysza, ale tutaj dodatkowo mamy sport drużynowy i to ten dla Polaków najważniejszy. Wielokrotnie stawałem w obronie zjawiska gimnopatriotyzmu uważając modę na patriotyzm za największy powojenny sukces polskich nacjonalistów. Tutaj biało-czerwone flagi pojawiają się bez naszego udziału, ale powinniśmy się zastanowić jak ten fakt wykorzystać i sprawić, żeby chwilowy boom wywołany grą Lewandowskiego czy Pazdana przyniósł trwałe owoce. Zamiast oburzać się, że na Euro wisi więcej polskich flag niż 11 listopada i 1-3 maja powinniśmy się cieszyć z tej manifestacji patriotyzmu i pracować nad jej umocnieniem.

Tomasz Dryjański

Wandea – fakty i mity

Z racji tego, że odbywa się Euro 2016 we Francji przypomina mi się kawałek zespołu „Legion - Wandea”. Wielka Rewolucja Francuska kojarzy nam się z walką ze starymi wartościami, tradycją, Bogiem i kościołem, co jest oczywiście prawdą. Z drugiej jednak strony jako nacjonaści zapominamy, że ideowo nacjonalizm wywodzi się z Wielkiej Rewolucji Francuskiej, co wyjaśniałem w tekście: „Zapomniane Dziedzictwo Ideowe Nacjonalizmu - Wielka Rewolucja Francuska”.

W dyskusji najczęściej przytacza się walkę Wandejczyków o stare wartości z rewolucyjnym reżimem. Mówić tu trzeba o „prawicowym micie”, który ma w sobie ziarno prawdy, ale na dobrą sprawę trzeba w końcu obalić. Czy naprawdę Wandejczycy szli do walki z rewolucją z pobudek ideologicznych? A może chodziło o bardziej pragmatyczne kwestie, jak np. praca na polu, aby wyżywić rodzinę? Rozważania na ten temat znajdują się w poniższym tekście.

Wandea należała do najbardziej zacofanych społecznie departamentów północnej Francji, co nie zmienia faktu, iż był jednym z bogatszych regionów w tym czasie. Nie istniały tam większe ośrodki miejskie - 90% mieszkańców mieszkało na wsi. Wandejczycy nie wykazywali wrogości wobec rewolucji, choć byli głęboko religijni. Tak potocznie się uważa. Francuski historyk Reynald Secher myśli, iż Wandejczycy w tamtym czasie niczym nie różnili się od chłopstwa z innych regionów Francji, po prostu byli „normalni”. (Owszem, ich przodkowie walczyli z protestantami m.in. w XVI i XVII w. i uważa się za ludność głęboko religijną, ale późniejsi ich potomkowie z XVIII w. mogli się różnić od swoich przodków). Wandejczycy jako pierwsi wybrali najwięcej deputowanych do parlamentu, wchodząc w skład najbardziej radykalnego klubu jakobinów, co trzeba uznać już za obalenie wcześniej wspomnianego prawicowego mitu przywiązania do starego porządku. Obalenie monarchii nie wywołało zbytnio oporu w tej prowincji, ale ścięcie króla Ludwika XVI - tak...

Według prawicowego mitu za czynnik numer jeden walki Wandejczyków z Republiką były wartości katolickie oraz rojalistyczne. Z wartościami katolickimi się zgodzę, iż mogły one funkcjonować pośród Wandejczyków, ale czy rojalizm naprawdę był pierwszą przyczyną zorganizowania partyzantki? Nie za bardzo. Ten proces wytworzenia się buntu w Wandei był na dobrą sprawę

wielowymiarowy. Za główny czynnik powstania w Wandei uznać trzeba kwestie gospodarcze, a nie pobudki rojalistyczne.

Chodzi dokładnie o dekret Zgromadzenia Narodowego z lutego z 1793 r. Na mocy tego dokumentu pod broń miało znaleźć się 300 tysięcy mężczyzn w wieku od 18 do 40 roku życia. Wandejscy chłopci zbuntowali się nie ze względów „rojalistycznych pobudek” (przynajmniej na początku), tylko przed obawą głodu własnych rodzin. Gdy zabraknie rąk do pracy na roli, zebranie plonów jest utrudnione, a rodzina przecież musi z czegoś żyć i jeść. Pobór do rewolucyjnego wojska miał nastąpić przed wiosną, a więc przed rozpoczęciem zbierania plonów. Niezadowolenie wywołać miała również forma rekrutacji do wojska. W przypadku braku odpowiedniej liczby przyszłych żołnierzy, każda gmina miała sama wyznaczyć odpowiednią ilość, bez względu na formę wyboru. Wandejczycy mieli od 250 lat zagwarantowane prawo wolności od służby wojskowej poza granicami Bretanii, co też w oczach mieszkańców omawianego regionu odebrane zostało to negatywnie.

Zastępowanie kleru katolickiego księżmi konstytucyjnymi zostało odebrane bardzo negatywnie, np. Wandejczycy masowo stosowali bierny opór nie biorąc udziału w mszach odprawianych przez zaprzysiężonych księży. Gdy poruszana jest kwestia kościoła, nie można zapominać o konfiskacie majątku - w Wandei stanowił on 10% ziemi i pochodził on głównie z dobrowolnych darowizn. Po konfiskacie wandejskich dóbr kościelnych pozbawiono możliwości zaspokajania potrzeb lokalnej społeczności w zakresie lecznictwa, opieki społecznej i szkolnictwa. Republikańską walkę z kościołem uznać trzeba za drugi czynnik powstania w Wandei.

Trzeci czynnik to zła sytuacja gospodarcza Wandei ze względu na toczoną wojnę przez Republikę Francuską z pierwszą koalicją. Na koniec tego akapitu wspomnieć trzeba, że szlachta francuska jako ostatnia przyłączyła się do chłopów z Wandei w walce z wojskami rewolucyjnymi. Chłopi musieli prosić szlachtę o pomoc lub zaciągać siłą. Na dobrą sprawę rojalizm i przywiązanie do monarchii to ostatni czynnik, który widać pośród uczestników powstania. Ważniejsze było przywiązanie do ziemi oraz do religii przedstawione wcześniej.

Inną kwestią pozostają Szuani, rojalistyczni chłopci, z terenów Bretanii i Mayenne. To właśnie ich można określić jako tych, którzy walczyli jako pierwsi o wartości sprzed rewolucji. Ich walka rozpoczęła się w 1791 roku. Szuani często potocznie utożsamiani są z powstaniem w Wandei, co nie jest do końca prawdą. Dołączają oni do Powstania Wandejczyków w taki sposób, że w tym samym czasie na terenie Bretanii i Mayenne wzniesają rojalistyczną partyzantkę. Wandejczycy i Szuani z Bretanii i Mayenne jednoczą siły, wymieniają się jednostkami, aby zwalczyć rewolucję. Warto pamiętać, iż z inicjatywy Szuanów wybuchają kolejne rojalistyczne zrywy w latach 1800-1803, m.in. nieudany zamach na Napoleona Bonaparte.

10-12 marca 1793 r. rozpoczynają się działania wojenne, początkowo od zamieszek w miejscowości Saint-Florent. Celem partyzantów była restauracja monarchii, w postaci 8-letniego wówczas Ludwika XVII więzionego w Paryżu oraz odbudowa wpływów Kościoła Katolickiego w państwie. Po połączeniu sił Szuanów i Wandejczyków pod bronią jest 40 tyś. ludzi. Zgrupowanie to określa się już jako: „Armia Katolicka i Królewska”.

Warto w tym akapicie obalić kolejny prawicowy mit. Cała ludność Wandei nie poparła powstania. Francuski historyk Reynald Secher podaje w swojej pracy „Ludobójstwo francusko-francuskie Wandea-departament zemsty”, że większość Wandejczyków zgłosiła się do poboru. Wyjątkiem pozostawały gminy, które odmówiły rekrutacji całkowicie. Co ciekawe, podział na wspierających Republikę i rojalistów przeważnie był kalką w związku z rozróżnieniem między rzemieślnikami i marynarzami (republikanie), a chłopami (rojaliści).

Oprócz początkowej liczebności, partyzanci mieli jeszcze ułatwione zadanie z innych powodów. Wandejczycy znali dobrze teren skąd pochodzili. Ponadto byli dobrze wyszkoleni pod względem strzeleckim. W Wandei istniała duża liczba wolnych chłopów posiadających broń palną. Oprócz tego lokalne wspólnoty w Wandei powiązane były silną więzią wewnętrzną. Głównym spoiwem było życie wokół parafii, w której doszukiwać się można życia w lokalnej społeczności, gdzie każdy się zna.

Francuski historyk Reynald Secher uważa, iż powstanie w Wandei trwało tak długo i było tak liczebne, ze względu na jeden znaczący czynnik. Omawiany teren pozbawiony był większych miast, co w konsekwencji spowodowało, iż siły republikańskie nie mogły organizować stałych baz, dzięki którym można byłoby łatwo kontrolować okoliczny teren. Z racji tego aparat represji nie był, przynajmniej początkowo, dobrze rozwinięty w Wandei, a opór wobec nowych władz mógł się łatwiej rozwijać.

Do zwycięstw z 1793 r. zaliczyć trzeba te m.in. pod Saint-Vincent-Sterlanges, Chemile, Angers. To ostatnie miasto otwierało już drogę na Paryż. I tutaj kończą się już sukcesy rojalistycznej partyzantki. Zamiast iść na Paryż oddziały przemieściły się na nadmorskie Nantes (Nancy). Napoleon w późniejszych czasach miał oceniać tą bitwę, że powstańcy stracili wówczas szansę na zwycięstwo w wojnie i zmianę historii Francji. Wracając jednak do ataku na Nantes - kontrrewolucjoniści liczyli na kontakt z Anglią, która by umożliwiła wsparcie powstańców - bezskutecznie. Drugi czynnik to rozproszenie oddziałów. Większość powstańców rozeszła się po bitwie pod Nantes do domów, ze względu na prace polowe. Warto pamiętać, iż charakter armii Wandejczyków był ochotniczy. Kwestią pozostają też długie odległości do domu. Mając do wyboru walkę np. na odległy Paryż, albo pracę na roli, chłopcy wybierali to drugie. Jak widać ważniejsze było

przywiązanie do ziemi, niż walka o wartości rojalistyczne czy jakiegokolwiek idee, co także obala prawicowy mit nadrzędności idei walki pośród Wandejczyków.

Reakcja władz Republikańskich była szybka - 17 marca 1793 r. uchwalono dekret, na mocy którego każdy buntownik schwytyany z orężem miał zostać skazany na śmierć. 1 sierpnia tego samego roku Komitet Ocalenia Publicznego przez odpowiedni Dekret nakazał pacyfikację Wandei. Inne źródła mówią o Konwencie, który wydał dekret nakazujący stosowanie w Wandei metody spalonej ziemi - zniszczenia wszystkiego. Do wojsk republikańskich przybyły posiłki. Rewolucyjne wojsko zyskało przewagę. 18 października 1793 r. wojska rządowe przekroczyły Loarę idąc na zachód. Partyzanci ponosili kolejne porażki. Główne siły Wandejczyków zostały pokonane 23 grudnia 1793 roku pod Savenay. Armia Katolicka i Królewska przestała istnieć. Mimo tej klęski walka w Wandei trwała nadal.

W trakcie trwania tzw. Terroru Jakobinów można wręcz mówić o namiastkach państwa totalitarnego. Francuski historyk - Reynald Secher uważa, że to co stało się w Wandei po powstaniu było typowym ludobójstwem. (Nomen omen przyrównuje te wydarzenia do działań Einsatzgruppen). Kiedy Wandejczycy przegrali powstanie, władzę rewolucyjną rozpoczęły eksterminacje ludności cywilnej na mocy praw, obowiązków i rozkazów z Paryża. Chciałbym tutaj podać dwa przykłady: po pierwsze - zastosowania specjalnej jednostki wojskowej o nazwie „Piekielne Kolumny”, po drugie - użycie masowego topienia więźniów nad Loarą.

Jeśli chodzi o pierwszy przykład - „Colonnas Infernales” wysłano ich 12-24, dnia 21-23 stycznia 1794 r. do Wandei. Dowodził nimi gen. Louis Marie Turreau, a nadzorował komisarz Jean Carrier. Członkowie omawianej formacji palili wsie i inne skupiska ludzkie, mordowali bezbronną ludność poprzez m.in. rozstrzelania, przebijania bagnietami, ścinania głów szablami. Zrywano m.in. także po śmierci skórę z ludzi i robiono z nich ubrania dla rewolucyjnego wojska. (Przykład z filmu „Wandea - sumienie Francji”, TVP Historia, cytując: „Niech chirurg z czwartego batalionu oprawi 32 trupy i zanieś ich skóry do Le Mouliera. (...) A jeśli ten odmówi ich wygarbowania, niechaj chirurg wie, że zostaną one złożone u sędziego (...)”). Członkowie Kolumn Piekielnych robili to masowo, z obowiązku, na rozkaz władz rewolucyjnych z Paryża. Część z Wandejczyków wysłano na gilotynę. Ofiary z rąk Kolumn Piekielnych szacuje się na 20-50 tys. ludzi. (Mówimy tu o okresie od stycznia do maja 1794 roku).

Drugim przykładem pozostają masowe egzekucje w postaci topienia nad Loarą. (Powstanie nie miało miejsca jedynie w Wandei - granicą powstania na dobrą sprawę pozostawała rzeka Loara). Wykorzystano specjalnie skonstruowane do tego celu barki, a raczej wraki. Określano tę formę egzekucji jako „Noyad” - stare statki z przedziurawionymi i prowizorycznie zatkanymi kadłubami spuszczano na rzece z setkami ludzi. Na środku rzeki wyjmowano zabezpieczenia, a barki szybko

tonęły wraz z więźniami. Ci, którzy przeżywali, wypływali na powierzchnię i tam dobijani byli szablami przez katów z pobliskich krążących łódek. Na uwagę w tym wątku zasługuje egzekucja 800 ofiar na jednej z takiego typu statków. Rozebrani do naga mężczyźni, kobiety, w tym także dzieci, przywiązywano parami o przeciwnej płci. Osoby przywiązane wcześniej się nie znały. Praktykę to określano ironicznie jako „małżeństwa republikańskie”. Sam Carrier określał „Noyad” innymi terminami: „pionowa deportacja w narodowej wannie” albo „patriotyczny chrzest”.

Najbardziej znamienne są słowa François’a Joseph’a Westermann’a - generała wojsk rewolucyjnych z tego okresu, które zobrazują czytelnikowi, co dokładnie się działo w Wandei z ludnością cywilną po powstaniu, cytując:

„Nie ma już Wandei, obywatele republikanie. Wraz ze swymi kobietami i dziećmi zginęła pod naszą wolną szablą. Grzebię ją w bagnach i lasach Savenay. Zgodnie z rozkazami, któreście mi dali, miażdżyłem dzieci kopytami koni, masakrowałem kobiety, które – przynajmniej te właśnie – nie będą już rodzić bandytów. Nie mam na sumieniu wzięcia chociażby jednego jeńca. Tępiłem wszystkich... Moi huzarzy mają przy końskich ogonach strzępy bandyckich sztandarów. Drogi są zasłane trupami. Jest ich tyle, że w wielu miejscach tworzą piramidy. Bez przerwy rozstrzeliwuje się w Savenay, ponieważ ciągle przybywają bandyci chcący się poddać... My nie bierzemy jeńców; trzeba by im było dawać chleb wolności, litość zaś to nie rewolucyjna sprawa.” 24 grudnia 1794 roku.

Trzeba obalić jeszcze jednym argumentem prawicowy mit powstania w Wandei. Tutaj obydwie strony były bezwzględne. Oczywiście machina Republikańska i skala terroru była o wiele większa i miała wymiar totalitarny i ludobójczy, niż akcje Wandejczyków. Jeśli chodzi o rojalistów mówić tutaj trzeba o lokalnych ruchawkach i odpowiedzi na masowy terror. Mówiąc o masakrach z rąk rojalistów chodzi o dwie w mieście Machecoul. Pierwsza miała miejsce 10 marca 1793 r. Po przejściu władz przez rojalistów we wspomnianym mieście, napastnicy ruszyli do dzielnicy zamieszkałej przez kupców. Za zgodą rojalistycznych władz zabito od kilkudziesięciu do kilkuset republikanów, bogatych obywateli miasta oraz konstytucyjnego księdza. Druga masakra to odpowiedź egzekucji powstańców w Pornic. Pośród nich było 250 straconych, często uczestników pierwszej masakry w Machecoul, którzy poszli walczyć w partyzantce. Z zemsty zatrzymano kilkuset podejrzanych o sympatie republikańskie w Machecoul. Nie wszyscy domagali się uśmiercenia (niektórzy żądali uwięzienia ich jako zakładników). 5 kwietnia 1793 r. na dziedzińcu miejscowego zamku skuto ich łańcuchami a następnie przebito pikami.

Wandea jest wiecznie żywa pośród środowisk patriotycznych, narodowych oraz katolickich. Jak każde wydarzenie urasta do rangi mitu. Widoczne było to m.in. w piosence „Legion - Wandea”. Jak każdy mit ma w sobie ziarno prawdy, a reszta to nadbudowa światopoglądowa. Na koniec

powtórzyć warto jeszcze raz, że głównym czynnikiem walki Wandejczyków było przywiązanie do ziemi, a drugim szeroko pojmowana religijność. Na pewno pierwszym czynnikiem nie były rojalistyczne pobudki, skoro Wandejczycy wspierali rewolucje na początku i wchodzili w jej system polityczny, a nawet wysyłali swoich deputowanych. Rojalizm na dobrą sprawę pojawił się dopiero po ścięciu króla Ludwika XVI i był ostatnim czynnikiem kontrrewolucji wandejskiej. Z drugiej strony nie ma tutaj co bronić ludobójstwa Wandejczyków z rąk wojsk republikańskich. Wydaje się, iż Paryż stracił kontrolę nad wydarzeniami.

Patryk Płokita

Zapomniane dziedzictwo ideowe nacjonalizmu – Wielka Rewolucja Francuska

Czy nacjonalizm jest zachowawczy i konserwatywny czy jednak radykalny i rewolucyjny? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Nacjonalizm pozostaje w tym wypadku ideą hybrydową i niejednorodną, zależnie od danej nacji, spuścizny historycznej czy kwestii religijnej. Najlepszym przykładem pod kątem „różnorodności” (dziwnie to brzmi) pozostaje kwestia gospodarki. We współczesnej Polsce rozróżnienie to widać mocno pośród nacjonalistów. Wymienić tu można trzy główne grupy ideowe. Pierwsi wyznają „kapitalizm z ludzką twarzą”. Drudzy - ideowe „płomyki” gospodarki w kierunku lewicowym, często ocierając się o „narodowy komunizm”. Trzeci łączą dobre aspekty lewej i prawej strony ekonomii. Mówią o sobie, że chcą stworzyć Trzecią Drogę.

Wyżej wymienionych, na dobrą sprawę, łączy jedna rzecz. Cechą wspólną wszelkiej maści nacjonalizmów pozostaje kwestia samostanowienia narodu i nadrzędności nacji w życiu politycznym, gospodarczym oraz państwowym itd. Ta przewodnia myśl w nacjonalizmie związana jest z zapomnianym dziedzictwem, który warto tutaj odświeżyć. Chodzi dokładnie o ideologiczną stronę Wielkiej Rewolucji Francuskiej, gdzie np. „samostanowienie narodu” obaliło stary ład, jakim w tamtym czasie pozostawał absolutyzm.

Jakby nie oceniać Wielką Rewolucję Francuską była ona punktem dziejowym w historii Europy. Bez wspomnianej „rewolucji” nie byłoby później współczesnych nacjonalizmów, ale i nie tylko. Ideowe korzenie z Wielkiej Rewolucji Francuskiej czerpią takie prądy jak m.in.: socjalizm, komunizm, liberalizm, demokracja, antyklerykalizm, a nawet feminizm. Ten ostatni związany jest z francuską feministką i abolicjonistką Olimpią De Gouges, autorką „Deklaracji Praw Kobiety i Obywatelki”, ściętą na gilotynie. Ponadto obecny system demo-liberalny także związany jest z francuską spuścizną końca XVIII wieku.

Nacjonalizm jako idea związana jest w sporym stopniu z Wielką Rewolucją Francuską. Hasła narodowe przeszły przez Europę podczas Wojen Napoleońskich, zagnieździły się w tworzących się

narodach w XIX wieku. Idee rewolucyjne i narodowe rozlały się m.in. w Irlandii i w Polsce o wiele wcześniej. Pierwszym przedstawicielem jest Theobald Wolfe Tone - irlandzki republikanin i lider Powstania w 1798 r. w Irlandii. To on był protoplastą irlandzkiego republikanizmu, który rozwijał się dalej, przez kolejne dekady i wieki. (Wyjaśniałem to w tekście pt. „Dzieje irlandzkiego nacjonalizmu” <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/65-dzieje-irlandzkiego-nacjonalizmu>). Jeśli chodzi o wczesne wpływy Wielkiej Rewolucji Francuskiej na inne nacje pozostają tutaj przedstawiciele w Polsce. Przykładem chociażby Tadeusz Kościuszko.

Szersze zdobycze rewolucji zagnieździły się w Europie podczas wojen napoleońskich, w Polsce np. podczas formowania się Księstwa Warszawskiego. Największe echo idei płynących z eksportu Wielkiej Rewolucji Francuskiej widoczne były w Europie podczas Wiosny Ludów, zwłaszcza na Węgrzech. Oczywiście mówić tu trzeba o „mieszaniu się” ideałów rewolucji francuskiej pod kątem narodowym z np. religijnością. Ta hybryda widoczna była np. w Polsce, Węgrzech oraz Irlandii. Jeśli więc ktoś uważa nacjonalizm, za „prawicowy odłam” to jest on w błędzie, jeśli zapomina o Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Nacjonalizm wywodzi się z rewolucyjnego myślenia obalenia systemu stanowego, monarchii i stworzenia społeczeństwa, w którym to naród ma najwięcej do powiedzenia przez swoich przedstawicieli.

Patryk Płokita

Wymogi Nacji, żadnej kapitulacji! - relacja z wizyty u Ruchu Azowskiego

Jako polscy nacjonaści, w tym przedstawiciele miesięcznika „Szturm”, zostaliśmy zaproszeni do Kijowa przez Korpus Cywilny Azowa na manifestację „Wymogi Nacji - żadnej kapitulacji!”. Ogłoszona zaledwie tydzień przed akcją mobilizacja spotkała się z entuzjazmem wśród wielu ukraińskich nacjonalistów i patriotów. Powodem marszu organizowanego przez Ruch Azowski (w jego skład wchodzi Pułk Azow i Cywilny Korpus będący ramieniem ideologicznym i społecznym) były zapowiedzi jakoby rząd Ukrainy miał zaakceptować tzw. Plan Morela. Pierre Morel jest byłym francuskim dyplomatą zaangażowanym w grupę kontaktową Ukraina-Rosja-OBWE, który opracował plan pokojowy dla Ukrainy. Plan ten przewiduje pełną amnestię dla prorosyjskich bojowników (także zbrodniarzy wojennych) i przeprowadzenie wyborów samorządowych w Donbasie. Wybory miałyby być przeprowadzone wg ukraińskiego prawa, lecz wedle zasad separatystów. Niemal pewne są więc manipulacje, fałszerstwa, które doprowadzą do objęcia ważnych lokalnych stanowisk przez prorosyjskich watażków. Ukraińscy nacjonaści zdają sobie sprawę, że taki krok to wbicie kolejnego noża w plecy walczącym na froncie patriotom, lecz tym razem ostatecznego, dlatego celem manifestacji było ostrzeżenie rządu, że nie ma zgody na ten kompromis oraz zasygnalizowanie gotowości do fizycznego sprzeciwu.

Dzień przed marszem spędziliśmy w Iwanofrankiwsku, dawniej polskim Stanisławowie oprowadzani po polskich zabytkach i śladach przez lokalnych aktywistów Azowa. Zaskoczył nas fakt, że

historyczna nazwa Stanisławów nie jest na cenzurowanym i bardzo często pojawia się w mieście, a polska historia tego miasta nie jest zapominana, wręcz przeciwnie. Stare godło miasta z krzyżem z herbu Potockich jest bardzo popularne i zdobi wiele miejsc w centrum miasta, a w parku miejski stoi pomnik Mickiewicza. Na rynku stoi także nowo wybudowana brama z polską nazwą miasta i godłem II RP. Widoczna też była aktywność Azowa którego propagandowe wlepki i plakaty były wszechobecne. Podczas pobytu na miejscu odwiedziliśmy także polskie centrum kultury w którym przyjęto nas i towarzyszących nam działaczy Azowa bardzo serdecznie. Pracujący tam oprowadzili nas po całym centrum i wyjaśnili jego rolę oraz aktywizm Polaków na Ukrainie. Co ważne, dla osób zaznajomionych z Polakami na Ukrainie nie będzie to raczej niespodzianką, ale dla wielu owszem, tamtejsi Polacy bardzo pozytywnie odnosili się do ukraińskich nacjonalistów, do Azowa i ich demonstracji, która miała się odbyć następnego dnia i była przez nich postrzegana jako walka o swój kraj. Podczas wizyty dyrekcja centrum kultury podarowała aktywistom Azowa książki o historii Polski w języku ukraińskim, których część znalazła miejsce w oficjalnej bibliotece Iwonofrakiwskiego Korpusu Cywilnego Azowa.

Nocą wyjechaliśmy w kierunku Kijowa zorganizowanymi autokarami. W czasie drogi nawiązywaliśmy rozmowy z aktywistami Azowa. Niespodzianką był fakt, że polski zespół patriotyczny Horywnica jest popularny wśród ukraińskich patriotów. Na miejsce zbiórki pod pomnikiem Matki Ojczyzny dotarliśmy nad ranem. Po kilku godzinach, gdy nastał już czas na miejscu zgromadziło się około 5 tysięcy manifestantów związanych głównie ze środowiskami nacjonalistycznymi, lecz nie brakowało bardzo wielu zwykłych, zatroskanych o dobro kraju ludzi. Ukraińcy wiedzą jak doprowadzić manifestacje wizualnie do perfekcji. Działacze cywilnego korpusu maszerowali w chustach i niebieskich koszulkach z logiem powstającej z Ruchu Azowskiego partii pod nazwą Patriot Ukrainy. Każdy niósł jednakową flagę co liczbie kilkuset dawało piorunujący efekt. Na samym przedzie jechał pojazd z zamontowanym bębniem, w który rytmicznie uderzali Kozacy przypominając sceny z filmu „Ogniem i Mieczem”. Na czole marszu w czarnych uniformach maszerowali członkowie Czarnego Korpusu, formacji z której wyrósł Azow. W porównaniu do polskich marszy hasła były oszczędne. Prócz tradycyjnych już okrzyków pojawiał się zaledwie jeden będący głównym hasłem tej manifestacji: „Wymogi Nacji - żadnej kapitulacji!”. Marsz przeszedł ulicami centrum Kijowa bez asysty policji pod parlament ukraiński. Po drodze aktywiści odpalali granaty dymne dające manifestacji wręcz mistyczny element.

Marsz zakończył się przemową lidera Ruchu Azowskiego Andrija Bieleckiego pod parlamentem obstawionym przez policję i Gwardię Narodową. W swoim przemówieniu ostrzegł rząd i parlamentarzystów przed akceptacją Planu Morela i podziękował manifestantom równocześnie pobudzając ducha bojowego, by w razie ignorancji rządzących elit byli gotowi do działania. Na koniec odmówiono modlitwę ukraińskiego nacjonalisty w wersji pozbawionej wspomnień o UPA, Banderze i Szuchewyczu oraz odpalono race.

Część aktywistów udała się po marszu na lotnisko, by demonstracyjnie przeprowadzić tam blokadę mającą pokazać rządzącym, że w razie zdrady nie uciekną przed sprawiedliwością. Nas zaproszono do siedziby Ruchu Azowskiego, gdzie przeprowadziliśmy rozmowy z jednym z liderów ideologicznych na temat sytuacji ruchów nacjonalistycznych w Polsce i na Ukrainie, sprawami które

nas dzielą (rzeź wołyńska), oraz o ewentualnej współpracy. Przedstawiono nam zarys idei Międzymorza, którą ma zamiar forsować Azow w środkowej i wschodniej Europie. Proponują oni konfederację państw narodowych będącą przeciwwagą dla dominacji Zachodu jak i imperialnej Rosji, która współpracowałaby mocno na rzecz niezależności energetycznej, w dziedzinie gospodarki, nowinek technicznych, polityce zagranicznej, oraz wojskowości. Azow na oficjalny herb takiego sojuszu proponuje krzyż jagielloński.

Sojusz z Polską przez ukraińskich nacjonalistów jest traktowany bardzo poważnie i w przypadku Azowa jest jednym z filarów ideologii. Idea czarnomorska (ukraińska nazwa takiego sojuszu) jest promowana otwarcie wśród jego działaczy, a na jej temat wydawane są książki i prace także przedwojennych ideologów ukraińskich. Czytelnicy „Szturmu” będą mogli dowiedzieć się o szczegółach propozycji Azowa już w następnej relacji, tym razem z oficjalnej konferencji organizowanej przez ukraińskich nacjonalistów z Ruchu Azowskiego poświęconej tej idei, na którą redakcja „Szturmu” otrzymała oficjalne zaproszenie.

Nie dla bratnich wojen, lecz dla Europy Wolnych Narodów

Witold Jan Dobrowolski